Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 20 grudnia 1936 r. Nr. 51



Ty jeszcze wierzysz?...

Ty jeszcze wierzysz — choćby na chwilę —
Że tyle kłamstwa i słów złych tyle
Można przebaczyć?... Można zapomnieć?...

Ty jeszcze wierzysz — choćby na chwilę —
Że może zginąć w zapomnień pyle
Tyle dni męki?... Bezsennych nocy?...

Któż zdoła nurtu bunt uspokoić
I wszystkie smutki, żale ukoić?...
Ty sam?... — czy wierzysz choćby na chwilę?

Któż zdoła zetrzeć niechęć z mej twarzy —
I kazać czekać na bieg wydarzeń?...
Ty sam?... — czy wierzysz choćby na chwilę?

Ty jeszcze wierzysz — choćby na chwilę —
Że w mojej może leżeć to sile
Próbować szczęście tworzyć na nowo?...

Hanna Meissnerówna.

WOJCIECH HOLM

12)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Dobywając ostatka sił, wydostała się Hortensja na szczyt muru ogrodowego. Tam, gdzie Leon siadywał, rozmawiając z nią przyjemnie, siedzi ona skulona, istny obraz rozpaczy wśród tego spustoszenia i zgrozy. Patrzy trwożnie i szuka pomocy.

Ale cóż, kiedy mur wysoki, a góra za murem opada stroma; nie może tedy uciekać, bo gdyby się nawet odważyła zejść z muru, to grozi jej tam woda.

— Adelajdo, Marcinie! — wołała zrozpaczona dziewczyna jeszcze raz.

Ale niestety, nikt jej nie opowiada. Dolatuje ją tylko zdala dźwięk sygnału niebezpieczeństwa. Burza jest tak straszna, że mało ją nie zmiecie z muru.

Strumienie nieustannego deszczu przenikają ją.

Zziębnięta i zmoczona tuli się do ściany domu, który zachwiany w swych posadach, przytułku dać jej nie może.

Niebezpieczeństwo zwiększa się z każdą chwilą, pomocy jak nie było tak niema.

— Jestem zgubiona — mówiła do siebie Hortensja. — O, teraz umrzeć w kwiecie wieku. Teraz, kiedy życie dopiero zaczyna nabierać uroku i wartości! O, to straszne zrządzenie losu. Dlaczegoż poznała słodycz życia, jeżeli ją tak szybko utracić miała.

Hortensja myśli o swoich opiekunach, a jakiś głos wewnętrzny mówi jej, że i oni zginęli; pocieszają się tym, że się zobaczy z nimi przed tronem Boga.

Ale niewypowiedziana boleść opanowuje ją, gdy sobie przypomina Leona. Myśl o rozstaniu się z nim i to na zawsze, napełnia ją niewymowną rozpaczą.

Czy też będzie jej żałował, lub opłakiwał ją czy może zapomni o niej tak prędko, jak się zapomina o kwiatku, który w przejściu bawi nasze oko, ale prędko więdnie.

Nie może jednak znaleźć na to pytanie odpowiedzi. Hortensja zbiera z trudem wszystkie myśli, aby zanieść ostatnią modlitwę do Boga, bo czuje, że już nadchodzi ostatnia jej godzina i że z życiem rozstać się musi.

Z trudem składa do modlitwy zdrętwiałe ręce. Jej blade usta szepcą:

— Panie Boże, zmiłuj się nade mną!

Poczym przymyka oczy, gotowa na śmierć.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Najlepiej każdemu u siebie w domu.

Na odgłos dzwonka, spowodowany przez Edwarda, przybyła spiesznie zarządczyni domu, której w krótkim czasie udało się Sylwię przywołać do przytomności.

Sylwia oprzytomniawszy, rozglądnęła się trwożnie dokoła i powiedziała:

— Nie mogę sobie wcale sprawy zdać z tego, z jakiego powodu omdlałam.

— Ale ja wiem — szepnęła zarządczyni.



Biała zima przyniosła ze sobą szereg przyjemnych rozrywek. Jedną z nich to wesołe, tradycyjne kuligi.

— Pani, panno Klaro, zna przyczynę mego zemdlenia? — pytała Sylwia.

Panna Klara obejrzała się ostrożnie, a gdy się przekonała, że nikt nie nadsłuchuje, zbliżyła się do Sylwii i rzekła:

— Baron pali opium, przyswoił sobie tę namiętność na wschodzie, otumanił panią dymem palącego się opium.

— Pani się myli — odparła Sylwia cicho — baron palił tylko cygaro.

— Czy miał je przy sobie? — pytała panna Klara.

— Nie — odrzekła Sylwia — musiał je sobie dopiero przynieść ze swego pokoju.

— Otóż ten szczegół jest dowodem, że moje przypuszczenie jest słuszne — rzekła panna Klara, — Jakie 10 minut przed przybyciem pani do zamku, byłam w pokoju u barona, aby z nim omówić spis potraw na obiad. Jego cygaretnica była zupełnie napełniona.

Otóż niemożliwem jest, aby w przeciągu dziesięciu minut około dwadzieścia papierosów wypalił, on tylko dlatego wyszedł z pokoju, aby sobie sporządzić cygaro, z tytoniu, do którego dodał opium.

Powiedziawszy to, rozejrzała się po pokoju i bystrym wzrokiem znalazła niedopalone cygaro, który Egon nieuważnie rzucił na dywan.

Rozwinęła cieńki papier i pokazała Sylwii, że blado - żółty tytoń turecki zmięszany był z bronzową masą.

— To jest właśnie opium — objaśniała panna Klara.

— Ale dlaczego baronowi samemu nie zaszkodziło? — spytała Sylwia.

— Po pierwsze, że już się przyzwyczaił do używania opium — odrzekła zarządczyni — a powtóre, pewnie dymem się nie zaciągał, tylko wypuszczał. Pani nawet nie ma pojęcia, jak ogromne niebezpieczeństwo groziło jej.

Sylwia spojrzała na nią trwożliwie, a Edward objaśniał szeptem:

— Baron chciał panią właśnie pocałować, ale pies ścisnął go za gardło.

— Brawo, Pluto! — wykrzyknęła Klara z uznaniem.

Sylwia powstała — nie chciała tu ani chwili dłużej zostać.

— Ja panią odprowadzę — ofiarowała się zarządczyni, pani jesteś za słaba, aby się w drogę sama mogła wybrać.

Młoda dziewczyna przyjęła z podziękowaniem tę usługę i obie opuściły zamek.

Pluto biegł naprzód w długich skokach i pierwszy przybył do leśniczówki, gdzie go pani Herbertowa z radością przywitała. Dobra ta kobieta przypuszczała, że Sylwia musi być już w pobliżu, skoro pies przybył. Zasłoniła oczy ręką przed olśniewającymi promieniami sierpniowego słońca i wypatrywała w oddali swej Sylwii ukochanej.

Gdy ją ujrzała, wybiegła na przeciw niej ze łzami w oczach.

— Moje dziecko — zawołała, łkając i przyciskając Sylwię do serca — moje drogie, lube dziecko.

Panna Klara rozkoszowała się chwilę tym wzruszającym obrazem, potem usunęła się tak, że pani Herbertowa wcale ją nie spostrzegła.

W tryumfie zaprowadziła ona swoją wychowankę do domu. Wysłała natychmiast posłańców, którzy mieli odszukać leśniczego.

Po upływie godziny zjawił się leśniczy, promieniejący radością nieopisaną i witał bardzo serdecznie swoją ulubienicę.

Przyniósł z piwnicy najlepsze wino, jakie tylko posiadał, aby skromnym bankietem uczcić powrót pięknej Sylwii.

Mała rodzina usiadła w woniejącej altance, a Sylwia opowiadała swoje przygody.

Nigdy przed tem nie czuła czaru, jaki daje ojczyzna, jaki dziś, nigdy też nie zdawało się jej takiem szczęściem posiadanie tak kochających rodziców, jak teraz, gdy po całotygodniowej rozłące z nimi, napowrót do nich wróciła.

Była święcie przekonaną, że hrabia Werner Wildenstein żył.

Ach, gdyby mogła była zobaczyć, jak leżał w gorączce na swojem niewygodnem łożu. Gdyby była przeczuwała, jak

ten szorstki dozorca był zarazem i jego lekarzem, jakby się było jej serce krwawiło.

Alojzy użył całej swej znajomości i umiejętności, by więźnia swego utrzymać przy życiu.

Jeszcze jako mały chłopiec musiał matce pomagać w wyszukiwaniu ziół leczniczych.

Wskutek tego znał rośliny uśmierzające gorączkę. Zbierał je, sporządzał z nich lekarstwa i podawał je swemu więźniowi, myślał nawet wypuścić go na jakiś czas z podziemia, aby mógł oddychać świeżem powietrzem i aby prędzej wyzdrowiał.

Wkrótce jednak rozmyślił się, gdyż się obawiał, aby hrabiego Wernera nie zobaczył kto, jeżeli się wydostanie z podziemia.

Gdyby Egon dał swemu wspólnikowi kilka tysięcy guldenów, toby mu Alojzy zaufał i nie troszczyłby się o zdrowie hrabiego, ale ponieważ Egon nie chciał wypłacić mu należytości przed śmiercią Wernera, niedowierzał mu Alojzy i myślał, że go Egon zamierza oszukać i ta okoliczność ratowała życie Wernera.

A biedny więzień często mówił zrozpaczony do dozorcy swego:

— Zapewne kazano ci zamorzyć mnie tu głodem, dlaczego tego nie uczynisz? W porównaniu z tym życiem, jakie tu prowadzę, śmierć byłaby dla mnie wyzwoleniem.

Alojzy nigdy nie odpowiadał na takie pytania, przeciwnie, z podwójną staran..ością pielęgnował chorego, tembardziej, że gorączka nie ustępowała.

Podczas gdy Sylwia narażała swe życie, aby każdy wąwóz w górach przeszukać, wisiało życie Wernera na włosku.

Podczas gdy ona wędrowała po świecie, on ginął w ciemnościach podziemnych.

Sylwia nie znała czarodziejskich sztuczek, któreby jej narzeczonego ukazały i podczas gdy ona szukała go bez wytchnienia, starał się Egon utwierdzić ją w fałszywem mniemaniu, że Werner żyje.

Przekupił on kilkoma guldenami pewną kobietę, która sobie z kłamstwa skrupułu nie robiła, a ta odszukała młodą dziewczynę i opowiadała jej, że podczas gdy zbierała jagody w lesie, widziała, jak się cyganie dzielili ubraniem męskim, złotym zegarkiem i łańcuszkiem, jakoteż drogimi pierścionkami.

Sylwia zbladła śmiertelnie.

— Kiedy to było? — spytała.

— Wczoraj — odparła bezczelnie kłamczyni.

Werner przepadł bez wieści 17-go lipca — myślała nieszczęśliwa narzeczona hrabiego Wernera. — Byłoby dziwnem, gdyby się cyganie dopiero teraz dzielili jego rzeczami.

Zamyśliła się nad tem głęboko.

— Czy mam panią zaprowadzić do namiotu cyganów, panno Sylwio? — pytała kobieta dalej. — Oni są o jakie dwie godziny drogi stąd. Niech tylko pani nie powie o tem swemu ojcu i mamie, gdyż byliby źli na mnie.

— To prawda — szepnęła Sylwia. — Biedni rodzice tak się o mnie troszczyli, byli tak nieszczęśliwi, gdy wróciłam, czy mam im znowu przysporzyć zmartwienia i troski?

— Moglibyśmy przecież w nocy udać się do obozu cyganów — proponowała kobieta.

Młoda dziewczyna zastanowiła się poważnie nad tą propozycją.

Jeżeli obóz cyganów był stąd oddalony o dwie godziny drogi, musiałaby na samą drogę tam i napowrót liczyć 4 godziny.

Na leśniczówce wstawano bardzo wcześnie, jeżeli więc nie mieli zauważyć jej oddalenia, musiałaby przed piątą rano być już z powrotem.

Cóż jednak miała powiedzieć cyganom? Czy miała im powiedzieć, że baron ofiaruje hojne wynagrodzenie za wyszukanie zwłok hrabiego? A coby było, gdyby tak Werner żył jako więzień między nimi, a oni zachęceni taką nagrodą, zamordowaliby go, ażeby tylko dostać tę nagrodę.

Na tę myśl ścięła się jej krew w żyłach.

Wielki Boże, gdyby Wernerowi zaszkodziła, zamiast mu pomóc?

— Namiot cyganów znajduje się na wierzchołku góry — rzekła przekupiona kobieta.

Gdyby się panna teraz nie zdecydowała iść, to może panna później pójdzie sama.

Ja nie powiedziałam pannie tego dla zysku, tylko z dobrego serca.

Udawała zręcznie obrażoną, że Sylwia jeszcze się namyśla i odeszła dopiero wtedy, gdy jej Sylwia dała srebrny pieniądz.

Z tą judaszowską nagrodą oddaliła się, a Sylwia została sama w ciemnym ogrodzie.

Co miała począć? Czy miała się rodziców radzić? Toby znaczyło, narazić kochanych rodziców na nowe troski.

Nie, Sylwia musiała tu sama rozstrzygnąć.



Hultajska trójka z niedowierzaniem patrzy w obiegt fotograficznego aparatu.

Ogarnął ją taki niepokój, że nie mogła go ukryć.

Zaledwie nacieszyła się rodzicami i domem, już myślała o dalszej wyprawie.

Wieczorem musiała się przemóc, aby wziąć udział w rozmowie swoich najbliższych.

Gdy się żegnała z rodzicami, ucałowała ich na dobranoc serdeczniej niż zwykle. Czyż mogła wiedzieć, że nie na długo się z nimi rozłącza, że ją los znowu nie zagna w świat?

— Śpij słodko, kochane dziecię — mówiła pani Herbertowa czule. — Dzięki Bogu, znowu jesteś razem z nami.

— W domu jest mi dobrze, ale jak długo tu zostanę? — myślała Sylwia, gdy przyszła do swego pokoju.

Postawiła świecę na stole i niespokojnym krokiem chodziła po izbie. Trapiły ją różne myśli.

Czy miała się udać do policji i żądać, aby cyganów uwięziono? Ależ banda cyganów wiedziałaby o tym, co ją dotyczy i uciekłaby, zanimby jeszcze wojsko do ich namiotu przybyło.

Nie, siłą zbrojną, niczby tu nie była zyskała. A może Bóg jej użyczy tyle siły, aby wzruszyła cyganów i oni na jej błagania, powiedzieli, gdzie hrabia Werner znajduje się.

Dziewczyna zgasiła świecę. Miała jeszcze resztę swoich pieniędzy przy sobie. Jedynym klejnotem, który przy sobie miała, był pierścień diamentowy, który jej włożył na palec Werner.

Gdy rozpoczęła swe wędrówki, przywiązała go na wstążkę i przewiesiła ją na szyji i tak nosiła kosztowny pierścień, który tak mało harmonizował z resztą jej ubrania.

Pierścień ten nie mógł zatem obudzić chciwości cyganów, bo nie byliby go ujrzeli.

Zegar wskazywał dziesiątą godzinę.

Sylwia zatym musiała się spieszyć, jeżeli chciała koniecznie do cyganów

przybyć, przed ich ułożeniem się do snu.

Na leśniczówce panowała zupełna cisza. Wszyscy kładli się wcześnie spać i wnet usypiali.

Cicho wysunęła się Sylwia z domu.

— Niech cię Bóg strzeże, mój miły domu — szepnęła wychodząc.

Zamknęła ciężkie drzwi bez szmeru i wyszła pospiesznie w okolicę, oświetloną teraz księżycem.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

W namiocie cyganów

Powietrze było przepełnione wonią kwiatów. Dziki tymian kwitł w całej pełni, a wietrzyk mieszał jego zapach z zapachem róż.

Noc była czarująca. Można było myśleć, że się jest gdzieś na wschodzie.

Powietrze było ciepłe i parne, niebo bez chmur i niebieskie jak szafir, wyiskrzony tysiącami gwiazd. W świetle tem widniały wierzchołki gór. Strumyk szemrał swą pieśń odwieczną.

Czy chciał wyśpiewać pieśń o niedoli, o troskach i smutkach, które człowieka w pielgrzymce ziemskiej prześladują? Czy może śpiewał wspaniałą pieśń o miłości?

Sylwia nie odczuwała tego.

Jej się zdawało, że źródło nęci ją do siebie, mówiąc: Chodź dziewczyno w ciemności lasu. Kryje on wiele tajemnic.

W lesie usłyszysz wieści o swoim narzeczonym.

Bezustannie szła dalej.

Zbliżało się już ku końcowi sierpnia. Noce były już dłuższe, ale powietrze jeszcze ciepłe.

Bez przeszkód szła Sylwia dalej. W lesie nie spotkała nikogo, tylko czasem przemknęła się cicho sarna, albo skaczący zając popatrzył na nią bez obawy i uciekał.

— Jaki ten świat śliczny — myślała Sylwia, zachwycona tą otaczającą ją sielanką. — Jak byłabym szczęśliwą, gdybym mogła być tu razem z Wernerem.

Na myśl o narzeczonym westchnęła głęboko.

— Kiedyż go znowu zobaczę? — szeptała.

Szła już ze dwie godziny, gdy do uszu jej doleciały dźwięki skrzypiec.

Była zatem w pobliżu góry, u której stóp rozłożyli się cyganie.

Wkrótce zajaśniało światło między gałęziami drzew. Usłyszała też miękkie przyjemne głosy ludzi, którzy w obcej dla niej mowie żartowali i śmiali się wszyscy naraz.

Sylwia odciągała krzaki leszczyny i patrzyła na malowniczy obraz, który się jej oczom przedstawił.

Na kamieniu obrosłym mchem siedział młody chłopiec i wygrywał na skrzypkach jakąś smętną, dziwną melodię. To zdawał się skarżyć, błagalnie prosić o coś, to znowu radować się.

Przy tej muzyce kręciło się w tańcu około dwanaście par.

Dziewczęta o brunatnej cerze miały na sobie pstre gorsety, krótkie spódnice, obszyte aksamitnymi pasami, odsłaniające zgrabne nogi.



Niemiecki ambasador w Wiedniu Franciszek von Papen urządził w tych dniach wieczór muzyczny, który zgromadził znane osobistości miasta. W pierwszym rzędzie od prawej ku lewej stronie siedzą: ambasador von Papen, pani Leopoldyna Miklas, prezydent Miklas, pani von Papen. Na lewo: minister Neustädter - Stürmer.

Ich krucze czarne warkocze były ozdobione srebrnemi szpilkami, czerwonemi różami albo goździkami.

Smukli i zgrabni młodzieńcy, mieli przy ubraniu srebrne guziki, a kapelusze przechylone zuchwale na bakier.

Otyłe kobiety miały u piersi brunatne niemowlęta i patrzyły na nie z dumą i radością.

Starsi mężczyźni leżeli obok palącego się ognia i grali w kostki lub karty.

Inni znowu leżeli na mchu i wypuszczali z krótkich, bronzowych fajek, niebieskawe dymy w powietrze.

W pewnym oddaleniu od siebie były rozrzucone namioty, przy których stały mocno zbudowane wozy. Małe koniki pokrzepiały się paszą leśną i zrywały silnymi zębami wonną trawę.

Przed największym namiotem, siedział na krześle wysłanem kapą, stary mężczyzna.

Srebrzysto - biała broda jego sięgała prawie pasa. Włosy na głowie były białe i długie.

Jego bogaty strój, jego rozkazujący wzrok wskazywał na to, że był głową tej gromady cyganów.

U nóg jego leżał mały pies, patrzący wciąż na swego pana.

Pies ten zaszczekał teraz.

Starzec popatrzył do namiotu i zawołał: Ilona!

Na ten głos odchyliło się płótno, zamykające wejście do namiotu i ukazała się na progu nasza dawna znajoma, Ilona.

— Ktoś obcy się zbliża — powiedział starzec — popatrz, kto to jest.

— Szukaj Terp — zawołała Ilona na psa.

Pies skoczył natychmiast między krzaki leszczyny. Cyganka poszła za psem i ujrzała idącą Sylwię.

Panienka z leśniczówki — zawołała Ilona, kłaniając się Sylwii. — Czem możemy pani służyć, my biedni cyganie?

— Zaprowadź mnie do waszego przewodnika, dobre dziewczę — prosiła ją Sylwia.

— Silny Marek, syn i wnuk królów jest tylko tymi krzakami leszczyny od nas oddzielony — odrzekła Ilona uprzejmie.

— Kto to przychodzi o północy do namiotu cyganów — zapytał siwowłosy starzec, gdy Sylwia przed nim stanęła.

— Przychodzę z prośbą — mówiła dziewczyna, patrząc na niego swoimi pięknymi oczyma i zwracając ku niemu błagalne spojrzenie.

Silny Marek popatrzył badawczym wzrokiem na cudną dziewczynę i powiedział powoli:

— Wątłe ciało, a serce bohaterskie. Szczęśliwy będzie mężczyzna, którego ta dziewczyna za męża wybierze. Jej miłość jest silna jak skała, która wytrwa burze i niepogody.

Tych ust nigdy nie splamiło kłamstwo, ta ręka nie podniosła się nigdy na żadne słabe zwierzę, ani na bezbronnego człowieka. A więc stokroć szczęśliwy mężczyzna, którego pieściei ona na swym sercu nosi i którego kocha!

Sylwia patrzyła nieśmiało na mówiącego.

Skąd mógł ten starzec wiedzieć, że ona pierścień od Wernera na piersi nosi?

Stary nie zostawił jej wiele czasu do namysłu i zapytał ją poważnie, ale uprzejmie:

— Co sprowadza cię dziewico o północy do Marka, który od królów pochodzi i który również berło dziś dzierży?

— Mój narzeczony, hrabia Wildenstein, zniknął bez wieści — odrzekła Sylwia. — Szukam go.

— Wiem o tem — poparł jej słowa Marek, spuszczając lekko głowę. — Wiem o tem i podziwiam Twoją odwagę. Czy przychodzisz do mnie, aby u czarnych, bezdomnych i przeklętych koczowników rady szukać?

— Tak jest — odpowiedziała Sylwia stanowczym głosem.

— Więc dobrze, udzielimy panience dobrej rady.

— Hej, zapalić święty ogień!

Na ten rozkaz zaprzestała muzyka grać, a pary tańczyć, kobiety przedrzeźniające się i mężczyźni zabawiający się kartami wstali i wszyscy zbiegli się do jednego miejsca w górze, w którym była czeluść.

Dziewczęta rzucały suche, wonne zioła do otworu czeluści, naprzemian z kawałkami siarki.

Zioła zapaliły się i białawy dym unosił się z nich ku górze.

Nad wąskim otworem czeluści postawiono trójnóg, do którego zbliżyła się dziewczyna, prawie jeszcze dziecko, ale już dorastająca.

Młodociane jej ciało otulone było w szatę z białego płótna. Ciemne jej włosy spięte były złocistą szpilką. Na rękach miała z ciężkiego złota branzolety, a na nogach sandały.

Mimowoli przypominały się Sylwii greckie wróżbiarki.

Dziewczyna miała dziwnie przygnębiający wyraz oczu.

Zdawało się, że drobne jej usta nigdy nie rozwarły się dla śmiechu, a czarne jej oczy zdawały się często płakać.

Dziewczyną tą była Irena, wróżbiarka.

Bez obawy zbliżyła się do otworu czeluści i usiadła na trójnogu.

Z obawą patrzyła Sylwia na Irenę, siedzącą na tak niebezpiecznym miejscu. Najmniejszy zawrot głowy, a stoczyłaby się do przepaści. Ale cyganie wcale nie dzielili obaw Sylwii.

Otaczali wróżbiarkę wokoło i czekali ciekawie, co to będzie.

Dym wydobywał się coraz gęstszy i otaczał Irenę jakby welonem.

Oblicze dziewicy przybrało wyraz jasnowidzenia i zaczęła mówić w pół śpiewnym głosem.

— Przed sobą mam córkę szlachetnego rodu.

Hrabianko, pokornie cię witam. Użycz biednym cyganom przytułku na swojej ziemi, oni potrafią ci być wdzięcznymi. Ojciec twój spoczywa na wieki w południowej Francji. Mirty i wawrzyny rosną nad jego grobem. Matka twoja spoczywa w ziemi niemieckiej, powój i fiołki zdobią jej grób. Ci, których nazywasz rodzicami nie są wcale twoimi krewnymi.

W tej chwili wyzionął czarnego ducha, człowiek, który był powodem nieszczęścia twej matki. Chciał swój błąd naprawić. Ale któż zmarłych wskrzesić zdoła. Kto uzdrowi złamane serce? Twoje serce silne jest, córko świetnego rodu. Ono nie złamie się z bólu i przykrości. Nie szukaj swego narzeczonego w świecie, na obcej ziemi, on jest w swoim własnym zamku. Szukaj, a znajdziesz go.

Irena mówiła te słowa głosem, coraz bardziej słabnącym, na koniec zemdlona zamknęła oczy.

Z szybkością błyskawicy przyskoczył do niej młody cygan, chwycił ją w swoje silne ramiona i zniósł z nad przepaści.



Japońska policja posługuje się niemieckimi owczarkami. Na zdjęciu uwidocznione przedstawienie japońskiej policji z psem owczarkiem.

Ogień dogasał, nie zostawiając wcale popiołu.

Z niezadowoleniem i rozczarowaniem patrzyła Sylwia na przywódcę cyganów. Zdawało jej się, że Irena oszukiwała ją temi nieprawdopodobnemi, fantastycznemi przepowiedniami. Przecież ona nie była córką dostojnego rodu, tylko dzieckiem skromnych mieszczan. Tak bezpodstawnem, jak to pierwsze twierdzenie, musiało być i to drugie, tyczące się hrabiego Wernera.

Irena mówiła, że on jest w swoim zamku! Gdzież mógł jednak być? Przecież w Königswalden nie był. Nawet gdyby go Egon tam ukrywać chciał, nie udałoby mu się to, przy tak licznej służbie.

W tem przemknęła jej jak błyskawica nowa myśl: Felseg był odosobniony. Tylko nieprzychylny ludziom Alojzy mieszkał tam. Czy Wernera może tam w ukryciu trzymają?

— Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie wróżbiarce? — zapytała Sylwia Marka.

— To już niemożliwe — odrzekł stary, żałując — Irena jest teraz bardzo wyczerpana. Musimy jej zostawić zupełny spokój, jeżeli zdrowie jej i tak słabe, niema na tem ucierpieć.

— Irena mówi, że hrabia Werner jeszcze żyje — mówiła Sylwia dalej — i ja jestem tego zdania i to jest jedyne, co mnie przy życiu trzyma. Czy nikt z waszych poddanych nie ukrył jakiego śladu hrabiego Wernera?

Nie jestem bogatą, mam jeszcze zaledwie kilka sztuk złotych pieniędzy, które z radością oddam, jeżeli mi bez ogródek prawdę powiecie.

Chciała wsunąć pieniądze w rękę silnego Marka, ale ku jej wielkiemu zdziwieniu usunął on rękę energicznie i powiedział:

— Nie przyjmujemy złota od dziewczyny, która tyle okazała bohaterskiej odwagi! Hrabino, bądź nam łaskawą dobrodziejką i opiekunką, gdy ziemia ta będzie twoją własnością. Czy przyrzeka nam to pani?

— Tak mi Boże dopomóż — odrzekła Sylwia uroczyście — przyrzekam wam to.

— Dzięki ci, hrabino, dzięki! — wołali radośnie cyganie.

— Czy możecie mi przysiąc, że nic nie wiecie o pobycie hrabiego Wernera — pytała młoda dziewczyna z naciskiem. — Czy moglibyście przysiąc, że hrabia nigdy nie był u was?

— Przysięgamy to! — zawołali cyganie chórem.

Silny Marek podniósł palce ku niebu jak do przysięgi i zaczął mówić pomału i wyraźnie:

— Ospa i dżuma niech pożre mnie i moich, epidemie i zniszczenie niech nas prześladują na każdym kroku, jeżeli który z nas podniósł rękę przeciw hrabiemu Wernerowi. Woda niech nas nie chłodzi, ogień niech nam ciepła nie użycza, jeżeliśmy mu choćby wzrokiem jaką przykrość sprawili. Ręka, która go więzi, niech będzie przeklęta. Przeklęta niech będzie jego żona, przeklętym niech będzie jego pomocnik aż do czwartego pokolenia. Amen.

— Amen. Amen — wtórowali wszyscy cyganie.

Sylwia przypatrywała się uważnie ich brunatnym twarzom, ale z oczu ich biła szczerość. Widocznie mówili prawdę. Z czarnych oczu Ilony błysnęła prawdziwa radość, czem zjednała sobie sympatię Sylwii, która łagodnie przemówiła:

— Ty cieszysz się wraz ze mną, że hrabia Werner żyje. Chciałabym ci się za to odwdzięczyć. Odprowadź mnie na leśniczówkę, a postaram się tam sprawić ci przyjemność

Ilona skłoniła się i wyrzekła kilka słów podziękowania, ale z ust jej znikł wesoły uśmiech, a w oczach błysnęła jakby złość, widocznie niechętnie godziła się na podarunek.

Sylwia nie zauważyła wcale tej zmiany w twarzy pięknej cyganki. Była tak przejęta swojemi sprawami, że nie miała czasu zwrócić na to uwagi. Teraz miała już pewność, że Werner nie był więźniem cyganów.

Było przecież zupełnie jasne, że cyganie byli dla niego życzliwie usposobieni, że mu żaden z nich krzywdy nie wyrządził.

Błogosławiła to szybkie postanowienie, któremu zawdzięczała pewność, że Werner żyje.

Wzruszona, dziękowała młoda narzeczona cyganom. Pożegnała się z nimi i chciała sama wracać, ale silny Marek postanowił, aby odprowadziła ją straż honorowa, złożona z trzech młodzieńców i trzech dziewic przez las aż do granic Königswalden, jako swą przyszłą panią.

Przebywszy las znikli tak szybko, że im Sylwia nawet podziękować nie mogła.

Gdy Sylwia dotarła do leśniczówki, wybił zegar na wieży trzecią godzinę. Niepostrzeżenie weszła młoda dziewczyna do domu, zamknęła za sobą drzwi, wsunęła się do swego pokoju i tak zmęczona ale szczęśliwa udała się na spoczynek.

Wkrótce usnęła głęboko i nie obudziła się nawet gdy słońce już wysoko na niebie się wzbiło.

ROZDZIAŁ XXXIX.

Siostry

Życie ciężyło Mali jakby kamieniem, a przecież przykro byłoby jej umrzeć. Postanowiła odszukać swą siostrę Martę, aby się z nią pożegnać, a potem wybrać się za granicę. Zmęczona i wyczerpana tym okropnym przejściem, które ją tak przygnębiło, szła z trudem do wsi.

W gospodzie wiejskiej zjadła skromne śniadanie, następnie wypytała się, która droga prowadzi do zamku Dornbrucha i poszła w wskazanym kierunku.

Po drodze napotkała wóz i spytała się woźnicy, czy nie jedzie obok zamku Dornbruch.

— A juści! — odrzekł wieśniak, trzaskając wesoło biczem.

— Czy zechcecie mnie zabrać — zapytała Mala — zapłacę wam halbę piwa za to!

— Mogę was wziąć — odrzekł woźnica — ale musicie wysiąść przed przyjazdem do wsi, bo ani rządca, ani wieśniacy nie śmią wiedzieć o tym, że jeszcze kogoś przywiozłem.

— Dobrze, powiecie mi tylko, gdzie mam wysiąść, odrzekła Mala. Zasłużycie sobie łaski u Boga, jeżeli mi pozwolicie wsiąść. Za wiele ufałam sobie, a teraz już mi sił nie starczy.

— No, niech panna siada — zachęcał Malę woźnica — nie można tak ładnej panny zostawić na gościńcu.

Piękna dziewczyna wsiadła prędko, woźnica trzasnął z bicza i konie pomknęły jak tylko mogły najszybciej. Zanim się zbliżyli do zamku Dornbruch zatrzymał woźnica konie.

— Bardzo mi żal, panno — powiedział on, — ale dalej nie mogę pani zawieźć. Teraz ma panna tylko dziesięć minut drogi.

Jak tylko pani wejdzie na górę, zobaczy pani zaraz zamek Dornbruch przed sobą.



Uroczo wyglądają na świątecznym drzewku ma leńkie ptaszki z kolorowego błyszczącego szkła.

Mala dziękowała mu szczerze, a za tę uprzejmość wsunęła mu kilka centów do ręki i poszła w dalszą drogę.

Gdy wstąpiła do zamku Dornbruch, z bijącym gwałtownie sercem myślała: Więc tu mieszka ta, która mnie wyparła z serca Egona. Jak ją nienawidzę, tak chciałabym zniszczyć ją i tego niesumiennego krzywoprzysięzcę, który mnie oszukał, pozbawiając zarazem szczęścia i szacunku.

Ręka ścisnęła się jej kurczowo. Po twarzy spływały jej łzy, które wycisnęły ból i wstyd. Otarła je śpiesznie i z całym wysiłkiem wymusiła na sobie spokój i zapytała pierwszego służącego, którego spotkała, czy może ją zaprowadzić do panny Marty Herc.

— Czy pani jest może jaką jej krewną? — spytał zagadnięty ciekawie.

— Jestem jej rodzoną siostrą — odparła Mala, spuszczając oczy i rumieniąc się.

A, to się panna Marta dopiero ucieszy — zawołał służący życzliwie. — Pewnie pani przyjechała, aby siostrze powinszować zaręczyn i poznać pana ogrodnika?

Mala już chciała powiedzieć: Nie miałam o tym najmniejszego pojęcia, że moja siostra się zaręczyła — ale jeszcze wczas się połapała, bo gdyby była prawdę wyznała, byłaby się zdradziła, że z siostrą nie koresponduje. Nadrabiając wesołością, rzekła:

— Tak, rzeczywiście, zgadłeś pan, właśnie dlatego przybywam.

Służący zadowolony, że był tak domyślny, uśmiechnął się i odprowadził piękną nieznajomą przez długi korytarz. — Po drodze, starając się ją czemś zabawić, rzekł:

— Dobrze pani trafiła. Jaśnie pani hrabina właśnie przed pół godziną wyjechała i wróci dopiero wieczorem. Panna Marta jest więc sama.

Nareszcie otworzył drzwi do jednego pokoju, a Mala ujrzała swoją siostrę pracującą bardzo pilnie.

— Jak się masz, Marto? — zawołała, wyciągając ku niej ramiona.

Marcie z rąk wypadła robota, patrzyła na siostrę szeroko otwartymi oczyma i wydała okrzyk radości.

— A to radość! — zawołała obejmując siostrę serdecznie. — Moja Malo, moja kochana siostro, ani się nie spodziewałam, że mnie dziś taka radość spotka.

Służący patrzył życzliwie na obie piękne siostry i powiedział:

— Moje piękne panie, powiem kucharzowi, aby tu zaraz jakąś przekąskę przysłał, czy wolą panie czekoladę, czy wino i babkę?

— O, dziękuję bardzo — rzekła Mala — niedawnom po śniadaniu.

— E, teraz drugie śniadanie musi pani spożyć — prosił służący. — Jedzenie i picie utrzymuje ciało i duszę, a największa się piękność niszczy, jeżeli się ciała nie wzmacnia.

Powiedziawszy to, oddalił się, a obie siostry zostały same.

— Jak to dobrze, że przyjechałaś, moja droga, — mówiła Marta ze łzami w oczach. — O jakżeż cię krzywdziłam, myśląc, że o mnie zapomniałaś i tak się tym okropnie martwiłam. Tem więcej cieszę się teraz, że dałaś mi taki dowód miłości.

Mala zarumieniła się. Siostra myślała, że ona dla niej przedsięwzięła tę podróż i dziękowała jej tak gorąco za to, musiała ją więc w tem mniemaniu utrzymać i dlatego przyjęła te podziękowania i postanowiła zamilczeć o swych przejściach. Uścisnęła tylko serdecznie jej rękę i rzekła:

— A więc jesteś szczęśliwą narzeczoną, Marto? Czy będę mogła poznać twego narzeczonego? Zapewnie od niego masz ten piękny bukiet z samych róż, który tu na oknie stoi?

Szczęśliwa narzeczona skinęła potakująco głową i odparła z uśmiechem:

— Mego Macieja możesz zaraz zobaczyć. Zobaczymy go, skoro tylko do parku wyjdziemy. On jest bardzo dobrym i lubianym człowiekiem i dlatego myślę, że będziemy bardzo szczęśliwymi. Chciałabym już, żeby był październik, abym się wreszcie wydostała z tego czyśćca.

— Czy ci tu tak źle? — zapytała Mala ze współczuciem.

— O tem pojęcia mieć nie możesz, jak nasza hrabianka każdemu dokucza

— mówiła Marta z westchnieniem. — Niczem nie można jej dogodzić. Popatrz naprzykład na ten kapelusz.

Otworzyła szafę i wyjęła małe arcydzieło zrobione z koronek i kwiatów.

— Prawda, jaki to milutki kapelusz? Ale moja hrabianka rzekła, że jest niemożliwy. Trzy razy musiałam zmienić, a za każdym razem hrabianka mówiła: coraz gorzej. Marto, gdyby sama Wenus włożyła ten kapelusz, wyglądałaby jak stara przekupka. Żadna moc mnie nie skłoni, żebym się dała oszpecić tym szkaradnym kapeluszem.

— Patrz, Malo — mówiła zasmucona Marta dalej. — Teraz muszę po raz czwarty ten śliczny kapelusik rozpruć, aby go znowu ubrać i jestem przekonaną, że się hrabiance znowu nie spodoba.

Mala, która również była bardzo zdolną modniarką jak i jej siostra, przypatrywała się kapeluszowi krytykującym wzrokiem.

— Wiesz co, Marto? ofiarowała się — zostaw ty mnie tę robotę. Widziałam niedawno pewną arcyksiężnę w bardzo pięknym kapeluszu i zmienię go na tamtą modę.

— Nie wiem, czy hrabina na to pozwoli, abym ci dała to zajęcie.

— Może ona o tem wcale nie wiedzieć — odparła Mala spokojnie.

Właśnie w tej chwili wszedł lokaj, niosąc na tacy różne przekąski.

Z dobrotliwym uśmiechem pozdrowił obie siostry, a postawiwszy tacę na stole, przysunął sobie krzesło naprzeciw nich.

— Pokrzepcie się, moje panie — zachęcał je uprzejmie służący — abyście nie robiły ceremonii biorę pierwszy, dając wam dobry przykład.

Wziął pół kuropatwy i zjadał ją nie czyniąc szmeru gryzieniem. Marta wybierała dla siostry najlepsze kęsy, ale ta była tak zajęta myślą o swej rywalce, którą była hrabianka Ada Dornbruch, że kęsa nie była w stanie przełknąć.

— Prawda, panno Marto, że pani da na mszę, jak pani hrabina tu kogo innego da na to miejsce? — spytał lokaj, gdy skończył posiłek i otarł usta chusteczką w miejsce serwety.

— Dlaczego wcześniej nie odchodzisz, jeżeli ci tu tak źle? — spytała Mala. — Jeśli się zamąż wychodzi, to dość jest wymówić na trzy tygodnie naprzód.

— O tym wiem — odparła młoda narzeczona — ale my nie chcemy narazić się państwu, bo mój Maciej jest tu ogrodnikiem i ma przy tym bardzo dobrą posadę. Wyobraź sobie, że hrabianka ma mi wiecznie coś do zarzucenia, ale teraz, kiedy mam odejść, nie może sobie żadnej innej dobrać, choć jej już tyle różnych dziewczat przyprowadzałam. Obawiam się, abym do Nowego Roku tu został nie musiała.

— O, wątpię, czy się pan Fichtner na to zgodzi — zawołał służący. — Panno Marto, czy mam zawołać pana Fichtnera?

— Dziękuję, już go same odszukamy — mówiła pokojówka. — Mogę ci przy



Oto jedna z ulubionych gier polnych studentów angielskich. Na zdjęciu widzimy, trening drużyny uniwersytetu Oksford przed zawodami o mistrzostwo uniwersytetu.

tym pokazać park i ogród. Chodź więc, moja biedna Malo.

Marta wzięła siostrę pod ramię i tak poszły odszukać ogrodnika Fichtnera. Ogrodnikowi, Mala, przyszła jego szwagrowa nie bardzo się podobała, ale nie okazywał tego z miłości dla swej narzeczonej, owszem, udawał nawet, że się nią bardzo cieszy.

Mala jednak czuła, że nie była mu sympatyczna, a i on się jej nie podobał. Osądziła go w swoim sercu za starego żarłoka, który gotów jest najważniejszą robotę zostawić, byle tylko dobrze zjeść i wypić. Osądziła go tem bardzo niesprawiedliwie. Cieszyła się teraz, że nie mówiła siostrze nic o swoim stosunku do Egona, zauważyła bowiem, że siostra jej nie ma żadnych tajemnic przed swoim narzeczonym, byłaby mu więc i o tem zaraz opowiedziała, a pocóż on miałby być wtajemniczony w smutne jej przejście.

Mala nie miała ochoty zostać długo w parku. Poszły więc napowrót do zamku.

Gdy były już w pokoju Marty, Mala zręcznie rozpruła ów kapelusz, rozprasowała ostrożnie koronki i zaczęła go przerabiać. Podczas tego zajęcia milczała; jej czoło zmarszczyło się na ustach malował się wyraz rozgoryczenia. Pracowała bezustannie. Nakoniec rzekła półgłosem:

— Niech każdy ścieg na tym kapeluszu, przyniesie jej nieszczęście.

— Czy co mówiłaś do mnie, Malo? — spytała Marta:

— Ukłułam się — odparła, czyniąc przy tem ruch, jakby chusteczką ocierała wyciśniętą ukłuciem kroplę krwi i dodała po chwili z gorzkim uśmiechem:

— Wedle zabobonu, oznacza to, że się hrabiance kapelusz spodoba.

— O z pewnością spodoba się — rzekła Marta — bo jest piękny.

— Czy nie ma tu gdzie jej portretu? — spytała Mala ciekawie.

— O tak, jest bardzo piękny portret hrabianki w sali, w której znajdują się portrety przodków — odrzekła Marta.

— Czy mogłabym go zobaczyć? — mówiła Mala dalej.

— Teraz możesz zobaczyć, gdyż nie ma państwa w domu — rzekła Marta. — Jeśli ci to tylko sprawi przyjemność to mogę cię z chęcią oprowadzić po całym zamku.

— O nie, chciałabym tylko zobaczyć portret hrabianki.

Marta wstała.

— Jeżeli chcesz, to natychmiast cię tam zaprowadzę — rzekła.

Prowadziła Malę przez cały szereg pokoi, aż nakoniec otworzyła drzwi, prowadzące do obszernej sali. Pociągnęła pod górę spuszczone story a światło dzienne wpadło do pokoju i oświetliło wszystkie portrety, zdobiące ściany tej sali.

— Tu przedstawiam ci hrabstwo Dornbruchów i ich jaśnie wielmożnych przodków — zawołała Marta z komiczną godnością.

Ostatni portret z lewej strony przedstawia hrabiankę Adę.

Z nadzwyczajną ciekawością przypatrywała się Mala temu portretowi.

— Nie uważam, żeby hrabianka Ada była piękna — rzekła lekceważąco. — Ach, przecież ona ma czerwone włosy i zielone oczy, jak rusałka.

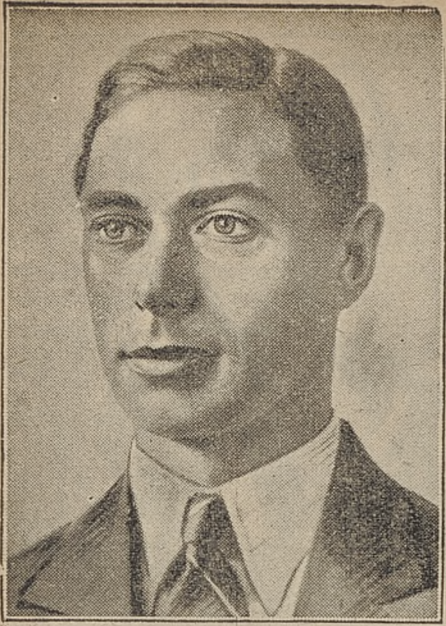
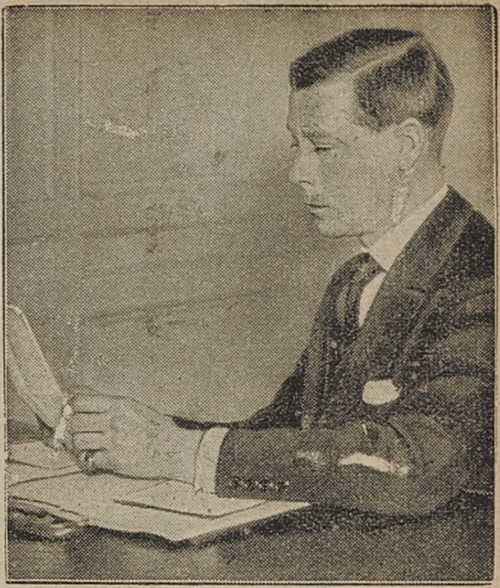
— Jej włosy są złociste — poprawiła ją Marta — a oczy jej, jak mówi baron Sturmfeder, głębokie i niezbadane, jak morze.

— Czy on tak mówi? — spytała Mala gwałtownie. Ale w tej chwili poskromiła swoją złość i rzekła z szyderskim uśmiechem:

— Baron ma widocznie zły gust.

— O, nie mów tak — rzekła Marta. — Przecież malarz, który hrabiankę zeszłego roku malował, był sam piękny jak obraz, a nikogo tu nie widział prócz hrabianki i był całkiem oczarowany nią.

Potym przyjechał tu jeszcze raz, miał schadzkę z hrabianką i widać, że się nie rozeszli w zgodzie, gdyż znaleziono go przy końcu parku, leżącego w ka-

W ostatnim czasie absorbuje cały świat sprawa małżeństwa króla angielskiego Edwarda VIII i pani Simpson. Król Edward VIII pragnął wstąpić w związek małżeński z p. Simpson, na co rząd Anglii się nie zgodził. Król, mając do wyboru utrzymanie tronu z równoczesnym zrezygnowaniem z małżeństwa p. Simpson lub abdykację, wybrał to ostatnie, wyrzekając się korony na korzyść brata swego, księcia Yorku. (Od lewej: nowy król — Jerzy VI p. Simpson i były król — Edward VIII).

łuży krwi z przestrzeloną piersią.

— Czy był nieżywy? — pytała Mała przerażona.

— Nie, żył jeszcze — odrzekła Marta — a hrabia kazał mu zrobić opatrunek i odwieźć do miasta.

— Czy został przy życiu — pytała dalej Mała.

— O tak jest — mówiła Marta szeptem — żyje dalej, ale zemścił się na hrabiance. Wystawił obraz, który hrabiankę okropnie kompromituje, na jakiejś wielkiej wystawie obrazów w Prusach.

— Skąd wiesz o tym?

— Wiem, bo widziałam obraz na własne oczy — mówiła dalej Marta. — Nasza hrabianka dowiedziała się o tym i nie dała ojcu spokoju tak długo, aż wkońcu do Berlina pojechał, aby ten obraz za drogie pieniądze wykupić i do domu przywieźć. Czy chcesz go zobaczyć?

— A możesz mi go pokazać?

Marta potwierdziła skinieniem głowy.

Gdy pan hrabia wrócił z podróży, przywiózł ze sobą obraz w płaskiej skrzyni i wpadło mi to w oko, że hrabia własnoręcznie tę skrzynię otworzył.

— Czy patrzyłaś może przez dziurkę od klucza? — pytała Mała.

— No, pewnie, żem była ciekawa, jak widziałam, że oni to tak ukrywają — mówiła pokojowa, usprawiedliwiając się. — Zaledwie hrabia podniósł nakrywkę skrzyni, hrabina i hrabianka wydały okrzyk oburzenia.

— To jest bezczelność — zawołała hrabina.

— To jest niegodziwie — krzyczała hrabianka pieniąc się ze złości.

— Właśnie dlatego, nie przyjęło Towarzystwo Sztuk Pięknych we Wiedniu tego obrazu — powiedział hrabia.

Czy uznajesz już Ado, jak to źle zaprzyjaźniać się z tą hołotą mieszczańską! Samaś sobie winna. Nieprzyjemności tej łatwo mogłaś była uniknąć. Nie masz pojęcia jak obraz ten był zawsze obstąpiony, z jaką ciekawością się jemu przypatrywano i jakich sobie najdziwaczniejszych uwag udzielano na ten temat!

— Musisz sobie wyobrazić jakam była ciekawa zobaczyć obraz, który wprawił moje państwo w takie oburzenie — mówiła Marta dalej. — Hrabina mówiła drżąc z wściekłości: ja rozetnę ten obraz na tysiąc kawałków i spalę go w piecu!

Powiedziawszy te słowa, zadzwoniła, a gdy przyszedł służący po kilku chwilach, kazała mu hrabina przynieść nożyczki, poczem pocięła obraz na kawałki i wsunęła je do pieca. Było to w lecie i naturalnie, pokojów nie opalano, a że hrabina nie chciała, aby ktokolwiek obraz ten zobaczył, więc postanowiła sama zapalić w piecu.

Mnie kazała przynieść drzewa. Naturalnie, że wyszukałam umyślnie najtwardsze drzewo, które nie prędko się pali, nalałam jeszcze na nie wody i przyniosłam je hrabinie, która mi zaraz kazała z pokoju wyjść. Wyszedłszy zaglądałam przez dziurkę od klucza i widziałam, jak hrabina wiele kawałków tego mokrego drzewa do pieca wsunęła, potem całą przeczytaną gazetę włożyła i ją zapaliła sądząc, że jak najlepiej sprawę załatwiła, bo musisz wiedzieć, że moja hrabina nie ma najmniejszego pojęcia o tem, jak się zapala w piecu.

— Ona wogóle o żadnej robocie nie ma pojęcia — wtrąciła Mała gorzko.

— Chwała Bogu nie musi pracować, jest dość bogata, aby przez cały rok siedzieć z założonymi rękoma i tylko myśleć o strojach i o zabawie — odrzekła pokojowa.

— No i cóż się dalej stało? — zapytała ciekawie Mała.

— No, papier palił się dobrze — opowiadała dalej Marta — a w chwili kiedy hrabina otwierała drzwiczki, aby zobaczyć jak się pali, nadjechał powóz baronowej Hardenfels, a baronówny zawołały głośno hrabiankę.

Ta usłyszawszy to wołanie, wybiegła z pokoju tak szybko, że ledwie miałam czas uciec z pode drzwi.

Skoro tylko zobaczyłam, że hrabina zajęta swoimi gośćmi, wzięłam kilka wiązek smolaków z kuchni, wsunęłam się do pokoju, w którym się ów pocięty obraz znajdował, wyjęłam z pieca pocięte kawałki obrazu, wsunęłam zapalone smolaki do pieca i tak starałam się aby przy dołożeniu kilku suchych kawałków drzewa wypaliło się w piecu i by hrabianka z hrabiną zobaczyły tylko dopalające się kawałki drzewa.

Załatwiwszy się z tym, poszłam do swego pokoju, nakleiłam sobie na płótno kawałki obrazu tak dobrze, że zupełnie mogłam zrozumieć, dlaczego hrabianka tak była zgorszona tym pomysłem malarza.

Mała przysłuchiwała się temu z zajęciem i powiedziała:

— Moja droga, prowadź mnie tam i pokaż mi ten obraz.

Marta poprowadziła ją znowu do swego pokoju.

Przyszedłszy tu wyciągnęła z pod łóżka duży karton, wyjęła z niego suknie, aż się ukazał na dnie tegoż wyżej wspomniany obraz.

Mała przystąpiła bliżej i na widok jego, wydała okrzyk źdźiwienia.

Ujrzała z wody wynurzającą się istotę, pół kobiety a pół ryby. Twarz kobiety była piękna i przypominała bardzo twarz przed chwilą widzianego portretu hrabianki. W pobliżu na łódce widać było pięknego młodzieńca, dążącego ku owej dziwnej istocie.

— Widzisz — mówiła Marta — ów malarz, o którym ci opowiadałam, całkiem tak wyglądał, jak tu w łódce.

— Ale dlaczego tak dziwnie hrabiankę wymalował? — pytała Mała.

— O, i ja sobie głowę łamałam nad tem, co to ma znaczyć, ale wytłumaczył mi to mój narzeczony. Ta dziwna istota — objaśniała dalej Marta — to ma być Syrena a Syreny to były nimfy, które śpiewem nęciły przechodzących ponad wodą młodzieńców. Skoro się który do nich zbliżył, znajdował niechybną śmierć w wodzie, gdyż nimfa go porywała. I tak malarz przedstawił tu hrabiankę, jako Syrenę przyciągającą do siebie młodych ludzi, dla ich zguby.

Ciąg dalszy na str. 955.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

CHĘTNIE...

„Huragan". Z czasem burza uczuć, jaka w Pani tkwi, złagodnieje i zmaleje. To przedziwne, że w tak młodej duszyczce zgromadziło się tyle nienawiści, bólu, miłości i dobroci. Potrafi Pani, jak pisze w liście, oddać ostatnią sukienkę biedakowi, potrafi gorzko płakać nad cudzym nieszczęściem, a równocześnie nienawidzieć okrutnie i szaleńczo. Natura Pani istotnie dziwnie się skomplikowała, ale może, ją Pani z powodzeniem zmienić na lepsze. Może Pani wytępić złe instynkty, a spotęgować dobre i w ten sposób stać się naprawdę wartościowym człowiekiem. Chętnie nawiążę z Panią korespondencję i zawsze chętnie posłużę Pani mojemi radami. Przesyłam Pani na dalekie Polesie serdeczne pozdrowienia i siostrzane uściski.

PRZEBACZ...

„Marta". „Marto" moja! Jedno mogę Ci tylko powiedzieć, po odczytaniu Twoich serdecznych arkusików: przebacz! Wszystko przebacz cokolwiek złego Ci ludzie zrobili, bo czynili to nieświadomie. Oni nie wiedzieli, że niszczą to, co ukochałaś, nie przeczuli, że zranią Ci serce — inaczej możeby Cię oszczędzili. Przebacz! Niech Twoje krótkotrwałe szczęście będzie dla Ciebie dobrym wspomnieniem w chwilach smutku, a praca cudna, jaka Ci przypadła w udziale, nadal jedyną przyjaciółką i ostoją życia! Pisz do mnie ile razy przyjdzie ochota, a na chwile zwątpienia przyjmij ten piękny wierszyk, napisany przez poetkę polską — Stefanię Ottową:

Chcesz szczęścia, gonisz za niem
I szukasz go wkoło,
Myśląc, że jego iskra
Od ciebie daleka:
Spójrz w głąb duszy swej własnej,
W świat niebios wznieś czoło,
A otrzymasz odpowiedź,
Gdzie szczęście Cię czeka.
I pomyśl w dniach ucisku,
Słabnąca ty duszo,
Że po doświadczeniach
Bojowej godziny
Pogoda i jasność
Nastąpić znów muszą,
Że radość — triumfu
Nad sobą nie minie.

MARZENIA CZASEM SPEŁNIAJĄ SIĘ...

„Smutna Eli". Marzenia czasem spełniają się szybko, widzimy to choćby z tego, że marzyła Pani o nawiązaniu ściślejszego kontaktu z „Krainą" i dzisiaj już przyjęłam Panią do naszego grona, a wkrótce otrzyma Pani zapewnie pierwsze miłe listy od Nieznanych.

Nadesłany wierszyk, jak na pierwszy utwór, wypadł dość miło. Do druku jednak nie nadaje się, gdyż posiada miejscami usterki. Może następne wierszyki będą odpowiedniejsze do druku...

A teraz liścik Pani:

„Mieszkam w bardzo malutkiem miasteczku nad Drwęcą. Życie moje płynie szaro i monotonnie, to też zapragnęłam zawrzeć bliższą znajomość z jakąś milutką Czytelniczką lub Czytelnikiem „Moich Powieści".

Jestem wysoką, szczupłą blondynką o błękitnych, smutnych oczach. Kocham muzykę i kwiaty. Uprawiam wszelkie sporty, ale nad wszystkie przekładam narciarstwo. Na końcu wyznam, że jestem również marzycielką.

Mam nadzieję, że zainteresuje się ktoś mną bliżej i wyrwie mnie z tego szarego koła życia. Pozdrowienia i śliczne pa — przesyłam „Smutnej Hance" i „Charitasowi".

Następna wkładka „Moich Powieści" wyjdzie w podwójnej objętości!!!

„NIE WIEM, CO TO SĄ NUDY I SMUTEK!...

„Fotoamator". Z chęcią ułatwiam Panu nawiązanie kontaktu z Sympatykami, zamieszczając niżej list Pana, który niewątpliwie wzbudzi należyte zainteresowanie.

„Chociaż rozporządzam małą ilością czasu, to jednak z chęcią nawiążę kontakt skimś z „Krainy". Jestem artystą — rzeźbiarzem. Przed kilku laty byłem kierownikiem artystycznym w fabryce porcelany, a obecnie kończę budowę własnego domku, z którego jestem bardzo zadowolony. Już od najmłodszych lat marzyłem o własnym białym domku z ogródkiem i obecnie cieszę się, że moje marzenia zrealizowały się. —

Beztroskie, młode lata spędziłem na Kujawach. Często wspominam, jak kiedyś biegałem po łąkach nad Notecią, jak wdrapywałem się na szczyty pagórków, z których roztaczał się cudny widok na rozległe pola. Tak bardzo lubiłem wsłuchiwać się w cichy szum fal małego Gopła i dumać na pobliskim kopcu, na którym lubił również dumać wielki Kasprowicz.

A teraz kilka słów o mej powierzchowności i jeszcze o sobie: jestem ciemnym blondynem, średniego wzrostu. Mam lat 26 i jak dotąd — jestem z życia zadowolony. Nie wiem, co to są nudy i smutek. Wiem, że przyszłość zdobywa ten, kto o nią walczy.

Lubię szalenie fotografować. Może znajdę pośród miłych Czytelniczek lub Czytelników kogoś, kto również lubi fotografować? Może napisze do mnie ktoś z Bydgoszczy? Oczywiście, że innych tak samo proszę o listy — kto napisze do mnie, napewno otrzyma odpowiedź".

W związku z zapytaniem Pana, „Fotoamatorze", o „Smutną Perełkę" — wyjaśniam, że przypuszczenie Pana nie zgadza się z prawdą.

DOKUCZA MI NIERAZ SAMOTNOŚĆ"...

„Babinicz". Mam wrażenie, że apel Pana nie będzie „głosem wołającego na puszczy", a zresztą to okaże najbliższa przyszłość...

„Mieszkam w uroczo położonej wiosce (dworze). Posiadam bardzo wesołe usposobienie i przepadam za wesołym towarzystwem. Poza codzienną pracą brak mi jakiejkolwiek innej rozrywki, nieraz dokucza mi samotność, dlatego zapragnąłem poznać kogoś, któryby wniósł nieco urozmaicenia do mej pustelni.

Przesyłam miłe pozdrowienia dla wszystkich Sympatyków „Krainy", a specjalne dla: „Milutkiej Leny", „Chryzolita", „Słodkiego Serduszka" i „Smutnej Kazieńki".

WYJAŚNIENIE

„Łowca przygód". Nie, „ta milutka buzia" z nr. 43 „Moich Powieści" nie należy do żadnej z Sympatyczek „Krainy" — jest to poprostu urocza gwiazdeczka filmowa.

A teraz po wyjaśnieniu powyższego, przyjmuję Pana do „Krainy" i gorąco polecam Pana pamięci wszystkich miłych Pań.

Pozdrawiam również w imieniu Pana „Dumkę", „Milutką Lenę" i „Duśkę", zachęcając je równocześnie do skreślenia kilku słów do sympatycznego Poznaniaka — „Łowcy przygód".

ŚNIEG

Lecą, lecą, hen zdaleka
białe płatki śniegu...
lecą, lecą wielką chmurą —
nie zwalniając biegu.

Otuliły czarną ziemię
w płaszcz puchowy i srebrzysty...
lśnią się w słońcu jak kryształy,
gwiazdeczki puszyste...

Lecą białe, drobne płatki
lód już pokrył fale rzek — —
w zadumanej, sennej ciszy
bezszelestnie prószy śnieg...

J. F. Płóciennik.

TRUDNO...

„Błękitna Pantera II". Przyznaję rację wywodom Pana, gdyż istotnie wielu ludzi przekłada błyskotliwość i szumną powierzchowność nad prawdziwe, głębsze wartości. Trudno jednak temu zaradzić, podobnie, jak trudno zaradzić odrazu upartej, silnie zakorzenionej chorobie. Pozostanie jedynie pogodzić się z takim stanem rzeczy, i samemu starać się być innym.

Życzę Panu szczerze szybkiego powrotu do zdrowia i zdobycia nowych sił do pracy. Treść załączonego do listu bileciku oddaję do przedruku:

„Hallo! Tu „Błękitna Pantera"! Zapytuję Sympatyków „Krainy", czy nie zechcieliby mi wypożyczyć książek Żeromskiego — „Popioły" i „Wiatr od morza"? Za wypożyczenie ofiaruję tomik poezyi Fr. Kosińskiego — „Jutrzenka".

„Dumko"! Proszę o liścik — znam Panią! Proszę również o kilka słów „Smutną Kazieńkę" i „Ryśkę D."

„Smutnej Miriam" donoszę, że powodem milczenia była dłuższa choroba.

„Lilkę" i Nieszczęśliwą" proszę o odpowiedź i o wyjaśnienie dotychczasowego milczenia".

CZY POCIĄGNIE TAJEMNICZOŚĆ?

„Tajemniczy Sfinks". Nie będę pisała dużo o „Sfinksie", gdyż odpowiedź pragnę utrzymać w tonie pseudonimu — tajemniczym. Zdradzę tylko Sympatykom, że „Tajemniczy Sfinks", to ciekawa indywidualność. Korespondencja nawiązana z „Sfinksem", przyniesie każdej inteligentnej osobie pełne zadowolenie.

A teraz kim jest „Sfinks", mężczyzną czy kobietą?.... a może lepiej osoby zainteresowane zabawią się same w detektywów i wyśledzą? Dla ułatwienia podaję adres: Poste — restante, Poznań, Urząd Pocztowy I. (dla „Tajemniczego Sfinksa").

ŻYCZENIE

„Niobe". A jednak posiadam tylko jedno serce, Droga „Niobe" i starczy go najzupełniej dla wszystkich. Tak już jest świat cudownie urządzony, że nieraz w maleńkim, cichym zakątku, znajdujemy więcej treści, aniżeli na szerokiej, głośnej arenie życia.

List, zgodnie z wyrażonym w liście życzeniem, wysłałam dalej. Życzę Pani powodzenia w korespondencji i jak najserdeczniej pozdrawiam!

PROSZĘ PISAĆ — ILE RAZY BĘDZIE OCHOTA

„Stęskniona Irka". Cieszy mnie, że choć po długim okresie czasu, napisała mi znów Pani miły liścik. Naprawdę proszę przezwyciężyć tę obawę, o której Pani pisze, gdyż zawsze przyjmuję każdy liścik od Sympatyczek i Sympatyków „Krainy" z wielką radością, i z takim samym uczuciem na niego odpowiadam. Nie zdradzę też Pani tajemnicy — może Pani być pewna, i zawsze, gdy tylko będzie Pani miała ochotę proszę pisać do mnie szczerze.

Liścik przesłałam. Może już Pani otrzymała na niego odpowiedź — czy tak? A teraz kilka słów Pani:

„Hallo! Hallo! Smutny Tulipanie! Jaki powód twego milczenia? „Stęskniona Irka" śle Ci pozdrowienia".

„Również milutkie pozdrowienie dla „Dumki" — „Ryśki D." — „Córy Wichru" — „Elżuni z Torunia" — „Irki z Torunia" — Mariana" — „Jesiennego Wichru".

„Orvginałowi" i „Lakoniczkowi" zasyłam moc pozdrowień i proszę o liściki — czekam".

„Kunę Leśną" pozdrawiam serdecznie i proszę o odpis".

„Wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „Moich Powieści" z okolicy Lwówka łączę jak najserdeczniejsze pozdrowienia".

POZDROWIENIA

„Stenia ze Żnina" przesyła moc pozdrowień „Czarnulce ze Świecia", a moc buziaków — „Lusi".

Z PRZYJEMNOŚCIĄ ODBIORĘ

„Cicero“. Czterostronnicowy list Pana ucieszył mnie bardzo, jak zresztą każdy list Pana! Dołączona nowelka miła i wesoła — uśmiałam się szczerze, bo spodziewałam się zupełnie innego zakończenia.

Z przyjemnością odbiorę znowu taki kochany list od Pana.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia beztroskiemu, pogodnemu żołnierzykowi, chociaż już znowu w „granatówce“.

Nie zapominam również przesłać w imieniu Pana pozdrowień „Przedwiośniu“.

„RADOŚĆ ŻYCIA CENIĘ PONAD WSZYSTKO...

„Józek z pod Poznania“. Oto bardzo miły list jednego z nowoprzyjętych członków naszej „Rodzinki“:

„Jestem młody, skromny i pracowity. Kocham słońce, pogodę i spokój. Radość życia cenię ponad wszystko. Kieruję się zawsze sercem i zawsze płacę sercem za serce. Interesuję się sprawami społecznymi.

Dużo radości i słonecznej pogody życzę wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom „Krainy“.

SYMPATYCZKOM BIAŁEGO SPORTU DO WIADOMOŚCI

„Sportowiec — tennisista“ pragnie nawiązać korespondencję z jakąś miłą panią. Równocześnie zasyła serdeczne pozdrowienia wszystkim sympatyczkom białego sportu.

LIST WYSŁAŁAM

„Ar“. Adres otrzymałam i natychmiast list wysłałam. Za miłe pozdrowienia — bardzo dziękuję!

DZIĘKUJĘ ZA SŁOWA UZNANIA!

„Żanetka“. Za bardzo miłe słowa uznania — dziękuję Pani. Również za niezwykle sympatyczny nagłówek listu. Czy „Żanetka“ ograniczy się tylko do przesłania krótkiego listu? — wolałabym, aby nie!

TO NIE POMYŁKA...

„Smutne Serduszka“. To nie pomyłka, Droga Dziewczynko, bo w „Krainie“ istnieje i „Smutne Serduszko“ i „Samotne Serduszko“. List wysłałam. Łączę dużo miłych pozdrowień!

KOMU ZALEŻY NA WESOŁYM PRZYJACIELU?

„Bibuś“. Do grona Sympatyków „Krainy“ przyjmuję Pana. Żałuję, że pierwszy list Pana był taki krótki, ale z drugiej strony pocieszam się nadzieją, że następny będzie dłuższy. Chyba nie mylę się?

Załączone słowa do Sympatyków przedrukowuję:

„Zasyłam bardzo serdeczne pozdrowienia i mocny, przyjacielski uścisk dłoni dla „Leny“. Zdaję się, że „Lenkę“ już poznałem, dlatego proszę Ją o kilka słów. Poza tym chętnie nawiążę korespondencję z osobą, której zależy na wesołym przyjacielu“.

CZY ZNAJDZIE SIĘ?

„Lu“. Nie gniewam się na Panią, Droga „Lu“, bo doprawdy nie mam za co. Serdecznie Panią ściskam i równocześnie komunikuję, że sprawy, związane z administracją, poleciłam załatwić, a także, że list „Czarnookiej Sarence“ wysłałam. Apel Pani jak najchętniej zamieszczam:

„Może gdzieś w puszczy Białowieskiej, albo w Tatrach znajdzie się jakiś leśnik, który zechce przesyłać mi w pomorskie lasy wieści z tajemniczej puszczy, czy z naszych pełnych uroku gór... a może jakiś dzielny rycerzyk z K. O. P. — u?“

WIERSZE BARDZO SŁABE

„Błękitny“. Dyskusja z Panem nie pociąga mnie absolutnie. Chętnie dyskutuję na tematy życiowe, mające sens i jakiś podkład, nigdy zaś o beztreściowych i niedorzecznych sprawach.

Nadesłane wiersze — bardzo słabe. Brak w nich nietylko kompozycyj, ale i rytmu.

Za pozdrowienia dziękuję i w pełni je odwzajemniam.

„MOŻE NAPISZE DO MNIE „ANITEŃKA“?

„Echo wsi“. Do Gwiazdki jeszcze dość daleko, a więc istnieje nadzieja, że w międzyczasie ktoś bardzo miły i kochany prześle Pani list, tak że w święta będzie mogła Pani na niego odpowiedzieć. Życzę jak najszczerzej i podaję niżej do wiadomości Sympatyków list Pani:

„W ponure, głuche wieczory na wsi bardzo miłą rozrywką jest dla mnie „Kraina“. Dzisiaj wstępuję do niej i pragnę nawiązać bliższy kontakt z jej Sympatykami.

Mój pseudonim „Echo wsi“. Mam lat 22. Jestem szatynką, średniego wzrostu o dużych marzących oczach i „rasowym nosku“. Podobno jestem ładną i zgrabną. Kocham przyrodę i wszystko to, co piękne. Lubię sport. Gram w tennisa, jeżdżę rowerem, kajakiem i trochę konno. Poza tym przepadam za wszelkiego rodzaju wycieczkami i podróżami.

Może napisze ktoś do mnie — mieszkanki wsi, odległej 20 km. od miasta powiatowego? Może „Aniteńka“? Znajomi moi twierdzą, że jestem bardzo do Ciebie podobna. Czy zachęcona tym odezwiesz się?

Zainteresowałam się „Jesiennym Wichrem“. Czy mogą spodziewać się od Niego listu?

Bardzo miłe pozdrowienia przesyłam: „Jenny“, „Milutkiej Lenie“, „Sonii“, „Eli z Torunia“, „Wikonowi“ i „Sympatycznemu Blondynowi“.

WESOŁA TRÓJKA

„Kizia“, „Miluś“ i „Filuś“ trzy wesołe, beztroskie dziewczynki uśmiechają się miło do wszystkich Sympatyków i przedstawiają kolejno:

„Jesteśmy trzema małymi kociakami, z tej racji, że potrafimy jak one bawić się łagodnie i beztrosko, a w razie potrzeby wysunąć pazurki i bronić się dzielnie...

„Kicia“ jest brunetką o wielkich, niebieskich oczach. Co najwięcej lubi?... chłopców — szatynów! Poza tym tańczyć dużo, płatać figle i śmiać się.

„Miluś“, dwudziestoletnia blondynka o zgrabnej figurce jest przeciwstawieniem „Kici“. Kocha szczerość i prostotę. Nie lubi otwierać naościerz serca przed ludźmi, ale potrafi z sercem tym podchodzić do ludzi.

„Filuś“ to mały hajduczek, zawsze pogodnie i ugodowo usposobiony do życia. Przepada za muzyką, śpiewem i tańcem.

Cała ta wesoła, bardzo miła trójka, pragnie otrzymać moc listów z nieznanych, dalekich stron. Z utęsknieniem czeka na pierwszy znak...

ŚWIEĆ NAM „ZŁOCISTY PROMYKU...“

„Złocisty Promyczek“ pisze: „...tak, jak promień słońca ożywia rośliny i kwiaty, pobudza je na wiosnę do życia, tak samo ja pragnę ożywić, rozweselić grono znajomych, z którymi żyję i obcuję“. Przyjmuję cię radośnie „Złocisty Promyczku“ do „Krainy“. Świeć nam uśmiechami i swoim dobrym serduszkiem, a wzamian znajdziesz „bratnie dusze“ — o których marzysz —, a które zapełnią i urozmaicą twoje długie, smutne zimowe wieczory miłymi słowami obszernych liścików, tak, że nie będziesz czuć takiej samotności na dalekiej wsi.

Stosownie do życzeń „Złocistego Promyczka“ przekazuję moc pozdrowień „Dumce“ — „Blance“ — „Samotnej Dzidzi“ — „Narcyzowi“ — „Cisowi“ — „Wirrytowi“ — „Waldemu“ — „Bijącemu sercu“ — „Czarnemu Olkowi“ „Sztubakowi z pod lasu“.

ZIMA NAD NAROCZĄ

Spójrz! Za oknem sypie śnieg...
Już puchem swym mięknim otulił bór stary,
Pochylił ku ziemi drzew konary,
Zasypał ślad drogi, co wiedzie na brzeg...

Wiatr wyje i świszczy, o dach targa dziko,
Szalejąc w śnieżycy, co hula przez świat,
Tu u nas w schronisku jest ciepło i cicho
I każdy wędrowiec jest swat nam i brat.

Na szybie mróz biały haftuje w noc kwiaty,
I wodę w jeziorze na taflę już skuł,
Pod żaglem nasz boer jak lotne rumaki
W poświacie księżyca przestrzeń będzie pruł.

Naturska, Kraków.

ZAŁATWIŁA ADMINISTRACJA

„Czarnulka ze Świecia“. Sprawę prenumeraty — załatwiła administracja. Treść pocztówki, przeznaczonej dla Sympatyków, przedrukowuję: „Hallo! „Jaśko“! Całuję mocno buzię. Pamiętaj o mnie, Droga Nineczko i pisz szybko. Helutce S. ze Świecia przesyłam pozdrowienia i proszę, aby ten „malutki łobuz“ nareszcie poprawił się“.

POZDROWIENIA

„Sympatyczny Blondyn“ przesyła bardzo miłe pozdrowienia „Czarnulce ze Świecia“, „Bajce i „Irce z Torunia“.

„CHCIAŁBYM, ABY COŚ ZMIENIŁO SIĘ...“

„Mixer“. Tytuł bardzo miły — niepotrzebnie tłumaczy się Pan z niego.

W celu bliższego zapoznania Pana z naszą „Rodzinką“ oddaję Pański list do przedruku: „Krainą szczerości“ zainteresowałem się do tego stopnia, że postanowiłem wstąpić w szeregi jej sympatyków.

Jestem wysokim ciemno - blondynem o ciemnych, marzących oczach. Życie moje płynie monotonnie, jak fale Wisły. Chciałbym, aby coś zmieniło się, dlatego czekam na listy — wierzę, że one wniosą do mej samotni nieco odmiany.

Zainteresowałem się szczerze „Słodkiem Serduszkiem“, „Samotną Dzidzi“, „Smutną Kazieńką“ — „Romą“ i „Milutką Leną“. Może któraś z wymienionych wyżej Pan napisze do mnie słodki liścik, który osłodzi mi szare dni życia?“

WRÓCI SZCZĘŚCIE...

Siostrze mej — Lusieńce — na dzień imienin.

Nie płacz, szczęście znów powróci
I o bólu swym zapomnisz,
Znów pod stopy Twoje rzuci —
Radość, kwiaty i kochanie.
W jakiś cudny, jasny ranek
Spłynie szczęście falą złotą
I wśród życia niespodzianek —
Chwile dobre Cie oplotą.
Choć odeszło znów powróci
Szczęście Twoje —, z cichych granic
I pod stopy Twoje rzuci —
Radość, kwiaty i kochanie.

„Blanka“.

„OCZEKUJĘ MIŁYCH LIŚCIKÓW...“

„Laleczka rodzaju męskiego“. Z radością witam Pana — nowego entuzjastę „Moich Powieści“ — w „Krainie“ i przedstawiam wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom. „Laleczka rodzaju męskiego“ jest młodym, wesołym ciemno - blondynem o oczach ciemno - niebieskich; lubiącym marzyć i kochającym wszystkie kobiety. „Laleczka“ pisze: „Czy w „Krainie“ jest taka miła Sympatyczka, która zechce do mnie skreślić kilka słów? Może „Smutna Hanka“, „Smutna Oleńka“ lub inna z Sympatyczek. Oczekuję miłych liścików i pozdrawiam wszystkie zwolenniczki i zwolenników „Krainy“.

Teczka Wujka Janusza

WIERSZ POSIADA USTERKI

„Sympatyczny Blondyn“. Nadesłany przez Pana wierszyk dostał się do moich rąk. Ponieważ posiada moc usterek, nie oddaję go do druku, a tylko wydaję o nim opinię. Otóż w wierszu Pana brak w pierwszym rzędzie rytmu, a następnie harmonijnej budowy zdań. Np. w zwrotce trzeciej:

Przychodzi czasem, taki słodki dzień,
Przychodzi taka myśl radosna,
Że na mą radość pada jakby cień,
Więc staję się cudny, jak wiosna...

Powyższego czterowiersza nie rozumiem zupełnie. Mało powiedzieć, że brak w nim harmonijnej budowy zdań, ale poprostu trzeba zarzucić brak sensu. I zarzut ten nie będzie zupełnie bezpodstawny...

Łączę pozdrowienia i zapewnienie, że dalsze listy Pana będą dla mnie bardzo miłe.

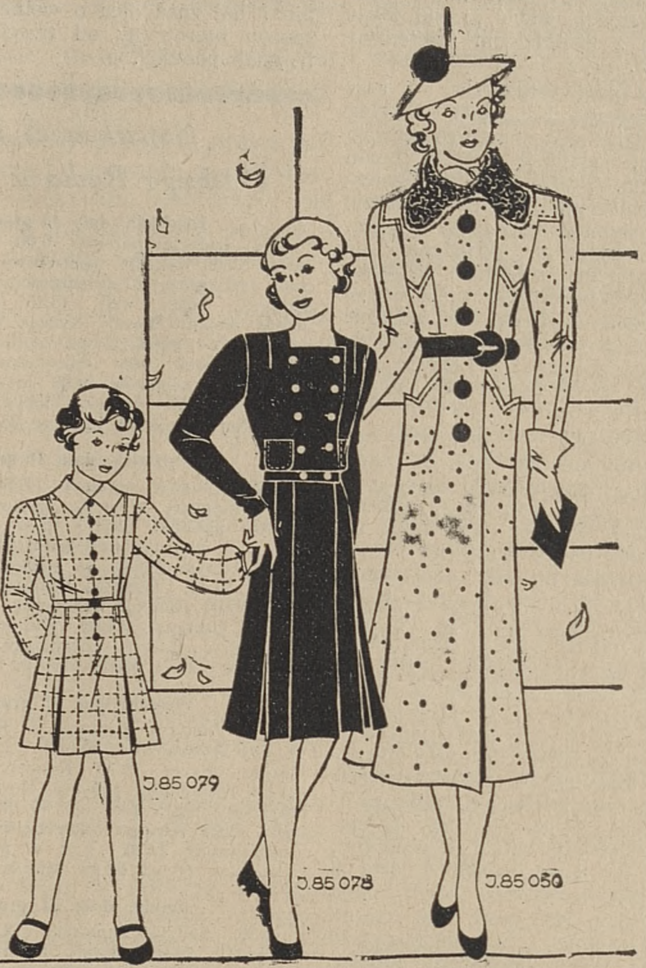
TYLKO PRACĄ I WYTRWAŁOŚCIĄ...

„Rych“. W nowelce Pana jest dużo smutnej, życiowej prawdy, ale na tym, niestety, kończy się cała wartość Pańskiego utworu. To samo mogę powiedzieć i o wierszykach Pana. Dużo upłynie jeszcze czasu, zanim zdoła napisać Pan coś naprawdę wartościowego, ale zniechęcać się nie trzeba. Tylko pracą i wytrwałością zdobywają ludzie swój cel i pracą nad sobą zacierają wszelkie braki swej wiedzy. Przesyłam Panu jak najmilsze pozdrowienia!

WIERSZE DO DRUKU NIE PÓJDĄ

„Wali“. Przykro mi niezmiernie, że prośbom Pani nie mogę uczynić zadość, ale nadesłane wiersze są tak chaotyczne, że nawet po poprawkach nie mogę ich dać do druku. Może nadeśle mi Pani inne swoje utwory? Pozdrowienia odwzajemniam szczerym uściskiem dłoni,

Raj kobiet



J 85 079 Praktyczna sukienka z wełny w kratę; guziczki ciemne, kołnierzyk biały.

J 85 078 Śliczna, choć bardzo skromna, sukienka z granatowej wełny.

J 85 050 Ładny płaszczyk z wełny „Fresco" dla polotka.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,60 zł przez P. K. O. nr. 207.393.

HIGJENA I ZDROWIE

„Ślepa kiszka"

Często w lecie, na skutek jedzenia surowych owoców występuje niestrawność zwana popularnie „chorobą żołądka". Jednak w wielu wypadkach pozornej niestrawności mamy do czynienia z podrażnieniem lub zapaleniem wyrostka robaczkowego, t. zw. ślepej kiszki.

Wyrostek robaczkowy jest to niewielki wyrostek długości od 5—15 cm. wyrastający z jelita grubego na samym jego początku.

Jeśli poprowadzimy linię łączącą pępek z kolcem kości biodrowej, podzielimy ją na trzy części, to na 1/3 bocznej z prawej strony brzucha będziemy mieli wyrostek robaczkowy. Często podrażnienie wyrostka występuje pod postacią niestrawności i za nią jest uważana.

Chory taki gorączkuje, ma obłożony język, skarży się na ból brzucha, szczególnie silny w miejscu, gdzie pod powłokami leży wyrostek.

Występują przytem nudności, często wymioty, które jednak ani w bólu, ani w samopoczuciu ulgi choremu nie przynoszą. Zabieg operacyjny bezzwłoczny jest konieczny.

Jednak zapalenie wyrostka robaczkowego często przedstawia się w formie lekkiego niedomagania jelitowego z zaparciem stolca obłożeniem języka lekkiemi bólami kłującemi przy ruchach. Jest to raczej podrażnienie niż zapalenie.

Jeżeli w tym stanie nie pomożemy organizmowi, jeżeli nie damy mu ochrony w postaci zimnych okładów, diety, przetworów belladonny i spokoju, wystąpić może stan ostry, grożący przy opieszałości życiu pacjenta.

Przy objawach podobnych do opisanych nigdy nie dajemy środków przeczyszczających, gdyż prawie zawsze prowadzą one, dzięki wzmożeniu ruchów robaczkowych jelit, do pogorszenia choroby, a nawet przebicie wyrostka.

Jakież jednak powody mogą wywołać to niebezpieczne cierpienie?

Zdania uczonych są co do tej sprawy rozbieżne. W każdym razie zapalenie wyrostka ma rozliczne powody.

Światło wyrostka robaczkowego, otwiera się do części wstępującej jelita grubego, do kątnicy, gdzie gromadzi się kał. Drobne cząsteczki kału, lub też części nie strawione w postaci czy to kawałków kostek czy też pestek, mogą zostać do światła kostek, czy też wyrostka i tam przez zaleganie wywołać zapalenie. Tego rodzaju zapalenie będzie trwało długo i będzie dawało objawy stale powolnie nasilające się.

Drugim powodem może być drobny robaczek, długości do 1 cm, który żyje w jelicie grubem, a nazywa się glistnicą robaczkową. Robaczek ten może dostać się do światła wyrostka i tam ruchami swemi drażnić ścianę, która daje odczyn zapalny. W tym wypadku będziemy się spotykali z szeregiem ataków. które w końcu zmuszą nas do poddania się operacji.

Wyżej podane dwa powody były, rzecz można, miejscowemi, nie są to jednak jedyne sposoby, wywołujące zapalenie wyrostka. Często zapalenie rozpoczyna się nagle, atakiem wyżej opisanym z wysoką gorączką i bardzo silnie zaznaczonemi objawami. Ataki te zwykle można po bliższem zbadaniu połączyć ze sprawą ropną, toczącą się w organiźmie chorego i to nawet z taką, która wyraźnych i uciążliwych objawów nie daje. Takim gniazdem, z którego zakażenie się wydostaje, może być zepsuty ząb, migdałek, w którym się toczy sprawa zapalna. Zapalenie wyrostka może nastąpić też po zapaleniu ucha środkowego, zapaleniu miedniczek nerkowych, zapaleniu woreczka żółciowego i wielu innych chorobach zapalnych. Można powiedzieć, że we wszystkich wypadkach, gdy w organiźmie rozmnożą się w któremś miejscu bakterje, zwłaszcza gronkowce lub paciorkowce, możemy się obawać zapalenia wyrostka robaczkowego jako komplikacji. Nie należy jednak przesądzać, zapalenie może, ale nie koniecznie musi się rozwinąć. W wypadku, gdy powodem są wyżej podane gronkowce i paciorkowce, przedostają się one do wyrostka drogą krwi lub limfy. W wyrostku natrafiają na wielką liczbę grudek limfatycznych, które zatrzymują bakterie i albo je niszczą, gdy bakteryj jest mało, lub też służą wielkiej liczbie bakteryj za pożywkę, na której bakterie rozwijają się wywołując ostrą sprawę zapalną.

Co trzeba robić w razie ataku? Chory musi przedewszystkiem położyć się do łóżka, leżeć na wznak spokojnie. W razie objawów ostrych jak wymioty, wysoka gorączka, dreszcze, należy natychmiast, w przeciągu pierwszych 24 godzin odwieźć do szpitala na operację, gdyż potem może nastąpić przebicie wyrostka i zapalenie otrzewnej, które bardzo często doprowadza do śmierci. W wypadku słabych dolegliwości leżenie w spokoju jest tylko konieczne. Na brzuch kładziemy zimne okłady z lodu, podajemy proszki z belladonną według przepisu lekarza. Możemy tu także wykonać operację w pierwszej dobie, lub też czekamy, aby operację wykonać, jak mówią chirurdzy na zimno. Znaczy to, że wstrzymujemy się 6 tygodni po ataku, czekając, aby wszystkie objawy zapalne ustąpiły i wtedy wykonujemy zabieg usunięcia wyrostka robaczkowego.

Świat i życie

Na lazurowym wybrzeżu

(Korespondencja własna).

Cannes, w grudniu.

Ojcowie nasi, którzy kierowali się rozsądkiem i szukali w czasie odpoczynku złagodzenia zbyt niskiej lub wysokiej temperatury, spędzali czas wielkich upałów w górach, a zimowali pod łaskawym niebem południa. Ale moda i trening sportowy czasów dzisiejszych zmieniły się doszczętnie. Właśnie w zimie góry przyciągają na zbocza pełne śniegu zapaleńców, a w czasie kanikuły Lazurowe Wybrzeże — ongiś wyludnione w tym czasie — ożywia się intensywnym ruchem. Zwłaszcza w tym roku, gdy w całej Francji od Alp do Atlantyku i od granicy belgijskiej do Owernji lało niemal bez ustanku, święcące jak na afiszu turystycznym słońce południa ściągnęło tłumy turystów. Gwarancja, że wyczekiwane przez cały rok wakacje i urlopy nie będą popsute niepogodą, jest poważnym atutem na korzyść wyboru jednego z licznych miejscowości, rozsianych od Tolonu do granicy włoskiej.

Przedewszystkiem zaludniło się faworyzowane przez powrotną falę mody Saint Tropez, znane z malowniczego portu rybackiego i wiernej klienteli malarzy i artystów. Z drugiej strony przylądka Esterel ściągnęło tłumy Juanles Pins, „odkryte" przez Amerykanów w czasie królowania dolara. Potem ożywiły się Hyeres, Beauvallon, Saint Raphael, Sainte Maxime, Cannes i Mentona. Wszystkie hotele pełne są, od malutkich „pensions de famille" do wspaniałych zdobiących zbocza górskie „palaces". Zresztą tutaj wszyscy nieustannie zmieniają miejsce pobytu i po rannej kawie nigdy nie wracają do swego hotelu. Śniada się w kasynie „Palm Beach", aperitif wypija się na tarasie „Malmaison" w Cannes, modnego baru, którego właścicielem, jest dawny bokser Georges Carpentier, popołudniowa herbata wypada najczęściej pod palmami Grand Hotelu, w porze cocktailów wszyscy spotykają się w Saint Tropez, którego port jest wtedy wielkim garażem. Wieczór — to gala w jednym z wielkich hoteli „La Residence". „L'Hermitage" lub „Chez L'Amiral" albo w najmłodszym dancingu w podwórzu starego domu, prze-



Anny Onora w swoim filmie „Dziewczę z baletu" reżyserii Karola Lamacz.

robionym z dawnej „boite a matelots". Na krętych drogach wzdłuż wybrzeża jest ruch jak przy wyjeździe z wyścigów w Longchamps. Luksusowe limuzyny i małe „tacots", które tylko Francuzi maja odwagę wyprowadzić na światło dzienne, mkną w nieustannym korowodzie. W nocy droga jest girlandą świateł, poruszających się w tempie 90 klm. na godzinę.

Ale w godzinach rannych jedynym tłem spotkań towarzyskich i „pojawień" się znakomitości są tylko błękitne fale morza. Ponieważ wybrzeża są nagość kamieniste, sprowadza się tonny piasku, a Cannes pyszni się ogromną sztuczną plażą. Profesorowie jazdy na nartach, którzy dotąd mieli w lecie martwy sezon, są teraz rozchwytywani jako nauczyciele nart wodnych, zyskujących największy sukces sportowy. Żeby być „a la page" nie wystarczy przejść się w efektownym stroju na plaży. Trzeba przejechać się na nartach wodnych, pędzących za motorówką z szybkością 60 klm. na godzinę, odbyć kilkugodzinną wycieczkę jachtem po morzu, przegrać partię „water-polo" i wziąć udział w zawodach, organizowanych przez „Motor-Yacht-Club". Do jeszcze większego szyku należy być członkiem oryginalnego klubu w Saint Raphael, zwanego klubem „pod wodą", a założonego przez pewnego oficera lotnictwa morskiego. Oficer ten wynalazł prosty w konstrukcji aparat, dzięki któremu można być długo pod wodą, zachowując swobodę ruchów. „Club sous l'eau" nakręcał w tym roku swój pierwszy film podwójny. Oczywiście, zebrania klubowe odbywają się pod wodą. Zainteresowania stałych bywalców Lazurowego Wybrzeża przewędrowały z dusznych sal kasyna gry do sportów wodnych, a ryzyko wysiłków sportowych bardziej emocjonuje tłumy, niż hazard przy zielonym stoliku. Świadczą o tem wymownie statystyki kasyna w Monte Carlo, przeżywającego w dalszym ciągu poważny kryzys.

W krainie słońca, beztroski i zabawy nic napozór nie wskazuje na bliskie sąsiedztwo półwyspu Pirenejskiego, terenu krwawych i okrutnych walk, widowni strasznej wojny domowej. Tylko zwykłe spory polityczne przy stolikach kawiarnianych mają głębszy, namiętniejszy charakter. Tylko w małych „bistrot" gdzie zbierają się robotnicy hiszpańscy, grupki ludzi gromadzą się przy głośniku radiowym, czekają z zapartym tchem na słowa speakera: „Attencion! Aqui Radio Barcelona".

M. C.

Ze świata

Bohaterska nauczycielka uratowała pociąg od katastrofy

Dzięki bohaterskiemu wysiłkowi młodej nauczycielki Bernice Haynes, pociąg pośpieszny, dążący z Birminghamu do Londynu uniknął niedawno strasznej katastrofy.

Noc już zapadła po gwałtownej burzy, gdy otworzyły się gwałtownie drzwi pokoju słożbowego naczelnika niewielkiej stacji kolejowej Newton i do pokoju wpadła, przemoczona, młoda kobieta.

Naczelnik stacji podniósł na nią zdumione oczy, a przybyła, złapawszy wreszcie oddech, krzyknęła rozpaczliwie: „na miłość boską, ekspres birminghamski... wstrzymajcie ekspres! Most na Scafeldzie runął! Widziałam to na własne oczy"!

Naczelnik stacji zerwał się od stołu, przy którym siedział. Krótki rozkaz. Przestawiono sygnały, a zaledwie tego dokonano, ekspres birminghamski który miał minąć, nie zatrzymując się stację Newton, stanął głośno zgrzytając hamulcami.

„Co się stało, dlaczego nie możemy jechać, już i tak spóźniliśmy się o trzy minuty! — krzyknęła obsługa pociągu do naczelnika stacji, kilku zaś pasażerów, którzy wyskoczyli zaniepokojeni z wagonów, zajęło się zwiastunką nieszczęścia, która po rzuceniu naczelnikowi ostrzeżenia, padła zemdlona, na podłogę.

Przed godziną jeszcze Bernice Haynes, zawołana piechurka, odbywająca codziennie długie przechadzki, bez względu na pogodę, stała podczas gwałtownej burzy nad brzegiem rzeki Seafel, wpatrzona w rozszalałe jej wody, gdy nagle uszu jej doleciał ogłuszający trzask. Widocznie, niesiony przez fale ciężki pień drzewa uderzył całą siłą o jeden z filarów mostu, po chwili bowiem, przyświecając sobie latarką elektryczną, przerażona miss Haynes ujrzała, że część wiązań mostu kolejowego chwieje się i wpada do rzeki.

W tejże chwili przypomniała sobie, że o tej właśnie porze przechodzi ekspres birminghamski. Nie zastanawiając się dłużej, popędziła do odległej od rzeki o cztery kilometry najbliższej stacji Newton i pomimo ulewy i przemokłego gruntu, szalonym wysiłkiem woli zdążyła do niej w sam czas, aby uchronić przed straszną katastrofą pociąg, w którym znajdowało się dwustu pasażerów.

Szczęście w szarym domu

(Nowelka).

W wielkim, koszarowym budynku na Wroniej gdzie od piwnic aż po czworak i poddasze, niepodzielnie króluje bieda, wszystkich lokatorów zelektryzowała nieprawdopodobna wprost wiadomość, że Kowalski otrzymał gdzieś tam pracę i jeszcze dzisiaj ma się wynieść z nory w suterynie, w której od kilku lat mieszka z żoną i dwojgiem dzieci. Na podwórku, w bramie, na schodach, wszędzie widać grupki lokatorów, omawiających z niepisanem zainteresowaniem sensację dnia.

„Moja pani, moja pani Witkowska — rozpowiada szeroko maglarka Katarzyna — ktoż to może lepiej wiedzieć ode mnie, co przecie z temi Kowalskiemi sąsiaduję i jeich biedę najlepiej chyba znam. Przez trzy lata gnieździ się ta biedota koło mnie w ciemnej ciupie w suterynie, to ich chyba dobrze znam i wiem, jak tam koło nich bywało". „Wiadomo, — odpowiada z przymilnym uśmiechem Witkowska — że tam pani Katarzyna o wiele więcej wie o tych Kowalskich, to chyba dokumentnie jeich zna i znakiem tego dowiemy się każdą szczegółe o tem, co dziś wszyscy wokoło rozpowiadają, to nagłe, a niespodziewane szczęście ich spotkało, że...

„Szczęście, nie szczęście — przerywa maglarka — ale coś się u nich stało, bo z samego rana Kowalski ciągiem się dozorcy rozpytywał, czy się o niego listonosz z jakiemi pieniędzmi nie pytał. Skąd on tam mógł się pieniędzy spodziewać, to ja sama nie wiem. Chłop trzy lata mieszka tu, cały czas bezrobotny, w domu bida aż piszczy, często i kawałka suchego chleba nie mieli, żeby nie wypominać, to przecież nieraz mnie aż serce rwało na tę nędzę i choć sama nie mam i dosyć gębów w domu do zapchania, to im tam ze swego zawsze coś niecoś oddawałam, że to niby potrzebującemu pomóc trzeba. A dziś, moja pani Witkowska, sam najprawdziwszy listonosz pieniądze im przyniósł, Kowalski na miasto wyleciał i teraz mają się wynosić. Kaśka od rządcego opowiada, że Kowalski jej nawet bilety kolejowe na jakiś tam Pińsk czy Mińsk pokazywał i, że jeszcze dzisiaj na kolej pojadą i jakie 2 dni tą koleją jechać będą. Nie wiem, moja pani Witkowska, co to być może, ale coś mi się te nagłe wzbogacenie i ten jeich wyjazd gdzieś do jakiegoś Pińska niebardzo podoba, coś w tem jest podejrzanego".

„A może na loterii wygrali?"

„Gdzietam na loterii wygrali, przecież nieraz i tych groszaków na bochenek chleba nie mieli, toby na loterię całe dziesięć złotych mieli. Moja pani Witkowska, czterdzieści lat w tem domu mieszkam, czterdzieści lat magle trzymam, za ruska szmat czasu przeżyłam, doczekałam się czasów lepszych, ale jak długo żyję, to jeszcze mi się ani razu nie przytrafiło, żeby kto taki, co w tej cholernej kamienicy ugrzązł, z niej się wydobył i gdzieś na lepsze pociągnął. Ja pani mówię, że z temi Kowalskimi to sprawa podejrzana, bardzo podejrzana, bo z tego domu nikt się na wierzch nie wydobędzie, kto tu wpadnie, ten tkwi i bieduje i tylko jedna śmierć z tego domu na Brudno czy na Powązki człowieka wyprowadzi".

Gdy tak maglarka Katarzyna z Witkowską rajcowały na temat nagłej zmiany u Kowalskich, podszedł do nich dozorca Jan i w krótkich słowach zaspókoił ciekawość, opowiadając im dzieje radosnej zmiany.

„Bo to pani Katarzyna było tak — mówi dozorca — Kowalszczaków syn, ten jeich Antoś sprzedawał na mieście gazety, że to niby pomagać musiał w domu i grosz zarobić, bo ojciec od paru lat roboty nie miał. Ano ten Antek chodził wieczorami do takiej świetlicy, co ją założyli dobre ludzie dla tych pętaków gazeciarzy. Tam w tej świetlicy to i herbaty dostali i jedzenie, przy tym czytać ich uczyli i pisać, albo też słuchali muzyki i różnego śpiewania przez te nowomodne „radyje". I z tem „radyjo" to właśnie ta cała heca. Bo to radyjo to gada o wszystkiem co się dzieje na świecie, daleko od nas i o tem, co w całym naszym kraju się dzieje. Jak mi Kowalski właśnie dzisiaj całom te historie opowiadał, to przez to rydyjo mówią, gdzie jest jakaś praca i gdzie potrzebują różnych robotników. Kowalski mówił, że to się nazywa biuletyn Biura Pośrednictwa Pracy, co go stale przez te radyje ogłaszają. I tak ten jeich Antoś w tej świetlicy raz słuchał, jak tam gadali, że w majątku ziemskim koło Pińska potrzebny jest mechanik obznajmiony z prowadzeniem lokomobili rolniczej i takiemi różnemi maszynami na wsi. Przyszedł z tą nowiną do domu, Kowalski nie lenił się, napisał o tem posadę i właśnie dzisiaj mu posłali przez pocztę pieniądze na podróż i popołudniu wyjedzie do Pińska, a tam na niego konie będą czekali i zawiozą do majątku, gdzie będzie teraz pracował". — Syn Kowalskiego poprostu słyszał komunikat Państwowego Biura Pośrednictwa Pracy przez radio i dał znać ojcu o wolnej posadzie. W ten sposób bezrobotny od trzech lat Kowalski otrzymał posadę".

C. P.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 20 grudnia 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa 10.30 Koncert rozrywkowy (płyty) 12.03 Poranek muzyczny z Filharmonii Warszawskiej 14.45 Audycja dla wsi 15.15 Koncert w wykonaniu zespołu Pawła Rynasa 16.00 „Tragedia Sokratesa" — część II pt. „Obrona Sokratesa" 17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie" i ogłosz. Wyniku Konk. Mandolinistów 19.00 „Sezon i epoka" — szkic literacki 19.20 Muzyka lekka 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 22.00 Koncert 23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 21 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert w wyk. orkiestry wojskowej 15.15 Lekkie piosenki (płyty) 15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.30 Koncert solistów 17.00 Udział Polski w badaniach biologicznych" — odczyt 17.15 „Tragedia Sokratesa" Część IIIpt. „Kriton" 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Koncert w wyk. Małej Orkiestry 21.00 Muzyka lekka 21.30 Koncert Pomorskiego Towarzystwa Muzycznego 22.30 Muzyka ludowa 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 22 grudna 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Nastroje wiedeńskie (płyty) 15.15 Muzyka lekka (płyty) 16.30 Koncert popołudniowy 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" 17.15 Franciszek Schubert: Trio op. 99 B-Dur 19.00 „Dyskutujemy" 19.20 Koncert orkiestry wileńskiej 20.00 Koncert symfoniczny 22.30 „Lud w poezji staropolskiej" — kwadrans poezji 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 23 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert w wyk. orkiestry Pracowników Tramw. i Autobusów 15.15 Wirtuozowskie utwory skrzypcowe (płyty) 16.10 „Choinka w radio" — audycja dla dzieci 17.00 „O powstaniu Wielkopolskim" — odczyt 17.15 „Czar operetki" — fragmenty z operetek 19.00 „Bitwa pod Łowczówkiem" (Boże Narodzenie Legionistów) 19.20 Trio Polskiego Radia 20.00 Włoskie piosenki (płyty) 21.00 „Opowieść o Chopinie" — wieczór VI „Na paryskich salonach" 21.40 Romanse i ballady Roberta Schumanna 22.10 Mała Orkiestra Polskiego Radia 32.00 Muzyka taneczna (płyty).

Czwartek, dnia 24 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 „Śpiewajmy kolędy 12.03 Muzyka salonowa 14.58 „Kolędy różnych narodów" — transmisja z Berlina 16.30 Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry P.R. 17.00 Słuchowisko: „Jodłowa kolęda" 17.30 „Przed wigilią" — reportaż 17.45 Kolędy Adama Sołtysa 18.15 Przemówienie wigilijne Prymasa Polski Ks. Kard. Hlonda 18.20 „Wigilia w kraju i za granicą" audycja zbiorowa 18.55 „Pójdźmy wszyscy do Betleem" — audycja muzyczna 20.00 „Opłatek speakerów" — audycja zbiorowa ze wszystkich rozgłośni 20.10 Koncert solistów 21.30 „Legenda wigilijna o białym młodzieńcu i grzecznej pannie" 22.00 Jan Sebastian Bach: „Weinachtsoratorium" 21.10 „Wigilia wieszczów" 23.50 Pasterka z bazyliki gnieźnieńskiej.

Piątek, dnia 25 grudnia 1936 r.

8.00 Audycja poranna 8.55 „1000 taktów muzyki" 9.35 Kompozycje Franciszka Liszta (płyty) 10.10 Transmisja nabożeństwa Kościoła Katedralnego w Poznaniu 12.03 „Zapraszamy dzieci na ciasto z rodzynkami" 12.25 Koncert rozrywkowy 14.30 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 15.35 Koncert chóru Dana i orkiestry Boulangera (płyty) 16.45 „Misterium o Narodzeniu Pańskim" 17.30 „Przyjęcie u Chrabelskich" — wesoła audycja świąteczna 18.00 Mała Orkiestra P.R. przygrywa do tańca 19.05 „Wesołe pastorałki" — nadadzą wszystkie rozgłośnie P.R. 19.35 Koncert solistów 20.35 Kurant staroświecki „Szkoda wąsów" — komedio-opera 21.15 21.15 „Płyta za płytą" 22.00 „Pieczone gołąbki" — audycja muzyczna 22.45 „Taniec za tańcem".

Sobota, dnia 26 grudnia 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja Nabożeństwa z Kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej (z Łodzi) 10.30 Koncert rozrywkowy 12.03 „Na wesoło pod jemiołą" — koncert 14.00 „Jasełka regionalna" — audycja zbiorowa wszystkich rozgłośni 14.40 Pogodna muzyczka (płyty) 15.30 „O Chińczyku Czing-Czang" i porcelanowej księżniczce" — słuchowisko 16.00 „Suita pastoralna" Stanisława Wiechowicza 17.00 „Kukułka wileńska" 17.30 Mała Orkiestra Polskiego Radia 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 19.30 „Paszteciarnia poetów, albo najdziwniejsza knajpa" — felieton 19.45 „Nowe Krakowiaki" — opera.

Słowa te sprawiły przyjemność Mali. żałowała, że tego obrazu Egonowi pokazać nie może.

Gdy tak obie dziewczęta były jeszcze pod wrażeniem tego dziwnego obrazu, usłyszały turkot zbliżającego się powozu.

— To pewnie moja hrabianka już wraca — mówiła Marta — muszę czemprędzej obraz sprzątnąć.

To powiedziawszy położyła obraz pod różnymi rzeczami i wsunęła pod łóżko.

Zaledwie to uczyniła, otworzyły się drzwi do sieni a potem do jej pokoju i we drzwiach ukazała się hrabianka.

Zobaczywszy Malę powiedziała:

— O, pewnie znowu jakaś garderobiana, która z świadectwami na mnie czeka.

— Nie jaśnie pani — odrzekła Marta — to moja siostra, która mnie tylko na krótki czas odwiedziła.

Podczas tej rozmowy rozejrzała się hrabianka po pokoju i zobaczyła swój przerobiony kapelusz.

— Wcale nieźle wygląda — powiedziała, a była to największa pochwała, jaka przez jej usta kiedykolwiek przeszła. — Skąd przyszłaś na taki pomysł?

— To moja siostra pomagała mi ubrać ten kapelusz, wedle modelu najnowszego, który miała arcyksiężna we Wiedniu.

— A skądżesz ona mogła tak dobrze ten kapelusz widzieć — spytała hrabianka.

— Ona pracowała w jednym z wielkich magazynów we Wiedniu i tam miała sposobność przypatrzyć się temu kapeluszowi — odrzekła Marta.

Teraz zwróciła się hrabianka do Mali.

— Czy naprawdę kapelusz arcyksiężnej był podobny do tego, przerobionego?

— O, najzupełniej — odrzekła Mala tylko, że tu umieściłam kwiat różowy, podczas gdy na tamtym, był liliowy.

Hrabianka zachęcona tą grzecznością Mali zapytała ją, czy nie była nigdy jako garderobiana w prywatnym domu.

Mala odpowiedziała, że wprawdzie nigdy jeszcze takiej posady nie miała, ale teraz przyjęłaby takową.

Wprawdzie Marta dawała jej na migi, znaki, aby się nie godziła na posadę u hrabianki, ale Mala nie zważała na to i zdawała się być dość skłonną.

— A czesać panna umie? — spytała hrabianka po chwili.

— I owszem — odrzekła Mala.

— To proszę przyjść dziś wieczorem uczesać mnie na próbę — dodała hrabianka.

Mala starała się pozyskać względy hrabianki, miała w tem jakiś ukryty cel. Była o tyle sprytną, że umiała ukryć swą niechęć, zazdrość i nienawiść dla niej.

Przeciwnie, tak umiała jej komplementy prawić, spojrzeniem okazywać jej swe uwielbienie, że hrabianka postanowiła ją zatrzymać.

Tego samego wieczora powiedziała hrabina do hrabianki:

No, cieszy mnie, żeś sobie przecież dobrała garderobianę, będziesz z niej zadowoloną.

— O, całkiem zadowoloną pewnie nie będę, ale przynajmniej więcej mnie ona zadowoli niż ta niezgrabna Marta.

Mala okazała się rzeczywiście bardzo zręczną. Dobierała zręcznie hrabiance coraz to nowe fryzury, zaś rękę miała tak lekką, że nawet niecierpliwa hrabianka Ada, nie mogła jej zganić.

ROZDZIAŁ XI.

Leon, wybawca Hortensji

Wróćmy teraz do biednej Hortensji.

Zostawiliśmy ją, gdy biedna i przestraszona wdrapała się na mur, na którym niegdyś zajmował miejsce Leon, rozmawiając z nią.

I w tem niebezpieczeństwie pamiętał Leon o Hortensji.

Widząc, coraz to wyżej wzbierającą wodę, wydostał się znowu na górę i z oddali zobaczył na murze Hortensję.

Jak błyskawica, przemknęła mu myśl, że tu trzeba natychmiast pomóc, bo inaczej Hortensja zginie.

Wielkie niebezpieczeństwo, jakie groziło jego ukochanej, uświadomiło mu dopiero, jak drogą mu była. Teraz dopiero czuł, że kocha ją nad życie, które bez niej nie miało dla niego wartości.

Pod wpływem tego uczucia obudziła się w nim chęć czynu i potrzebna do tego siła.

Bądź odważną — wołał on do opuszczonej swej Hortensji. Ale ta nie mogła słyszeć tych słów, bo przygłuszał je huk burzy i szum wzburzonej wody.

Lotem strzału wybiegł Leon na ulicę, aby sobie kogoś jeszcze wziąć do pomocy, bo czuł, że mu własne siły nie starczą do pokonania potężnie rozhukanych żywiołów.

Był już w połowie drogi do wsi, gdy spotkał dwóch młodych chłopaków.

Leon zatrzymał ich.

— Dokąd idziecie? — spytał.

Chłopcy opowiedzieli mu o swych zamiarach.

— Zostawcie to — zawołał Leon stanowczo — wasza sprawa może jeszcze poczekać, chodźcie lepiej ze mną, bo tu chodzi o życie ludzkie. Pomóżcie mi, a wynagrodzę was hojnie. Weźcie to, jako zadatek.

To rzekłszy, wydobył z kieszeni wszystko, co przy sobie tylko posiadał, a następnie włożył w wyciągnięte ręce chłopaków.

— Dam wam jeszcze dwa i trzy razy tyle, bylebyście mi tylko pomogli.

Obydwaj młodzi chłopcy byli gotowi do dania mu pomocy.

Leon tak spieszył, że obaj chłopcy ledwie zdołali mu nadążyć. Gdy się zbliżyli ku domowi Fellhuberów, zatrzymał się.

Z trwogą wskazał na mur, na którym Hortensja jeszcze na tym samym miejscu siedziała.

— Patrzcie no — zawołał. — Jakby się tam dostać?...

— Ach, to przecież idiotka, córka Felhuberów — rzekł jeden z chłopów.

Leon spojrzał na niego tak groźnym wzrokiem, że zamilkł.

W tejże samej chwili ujrzeli płynącą po wodzie łódkę.

— Gdybyśmy ją chwycić mogli — zawołał Leon — przy pomocy łódki, moglibyśmy bardzo łatwo dostać się do muru.

Zanurzył się w wodę po kolana i udało mu się zatrzymać łódź.

Z największym wysiłkiem chwytał pnie drzew, płynących po rzece, aby je użyć zamiast wioseł.

Na jego rozkaz chłopcy wsiedli do łodzi.

Z trudnością dopłynęli zaimprowizowanemi wiosłami na środek rzeki.

Leon stał w łodzi i nie spuszczał oka z ukochanej istoty.

— Hortensjo! — zawołał uspakajająco — nie obawiaj się, pomoc się zbliża.

Nakoniec udało mu się porozumieć z ukochaną dziewczyną.

Hortensja otworzyła ze zdziwieniem swe oczy, a jej blade rysy rozpromieniły się cudownie, gdy ujrzała swego ukochanego.

Stęskniona wyciągnęła ku niemu ramiona.

W serce jej wpłynęła odwaga i nadzieja, bo Leon niósł jej pomoc.

Daremnie starali się obaj sternicy przybliżyć łódź do muru.

Ile razy zbliżali się do celu, przypływała nowa struga wody i oddalała łódź o dobry kawał od muru w toń spienionej wody.

Co raz to nowe strugi wody unosiły łódź naprzód, aby po tym znów ją cofnąć.

Trwożnie przypatrywała się Hortensja ciężkiej walce swoich wybawców z rozhukanym żywiołem.

W obawie o życie Leona, zapomniała o własnym niebezpieczeństwie.

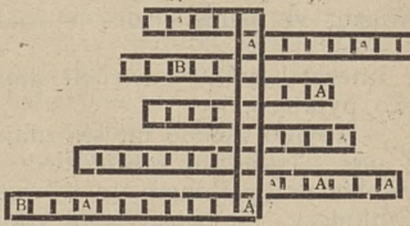
Całą duszą modliła się.

— Boże! — westchnęła — chroń go! Weź moje życie, ale ocal jego.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

„Dziesięć imion"
(podał Z. P.)



W każdą kratkę wstawić litery (prócz A i B), aby utworzyć imiona żeńskie w środku i po prawej stronie, a męskie po lewej.

Bj Ly. Zarzycki	Makary Nein

Jan Cepigin

Jakich narodowości są właściciele powyższych biletów?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do czwartku, 24 grudnia br.

Rozwiązanie zadań z numeru 49 „Moich Powieści": Rozsypana krzyżówka: Nauka. Nagroda. Aga. Tak. Mur. Pra. Kot. Atu. (p) Ter. Rurka (wsp.) Zagadka: Zima.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Aleksandra Lewandowska — Włocławek, Benita Grójecka — Lublin, Adam Wasilkowski — Prużana, Wiktoria Matakówna — Lublin, Wanda Zawadzianka — Starachowice, Edmund Pilarczyk — Wadowice, M. Słowicki — Granowo, „Be - de".

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Wiktorii Matakównie z Lublina i Adamowi Wasilkowskiemu z Prużany.

KAZIMIERZ ŁAGANOWSKI

(12)

Niebezpieczny Gość

Powieść

— Dokąd teraz pójdziemy? — zapytał, gdy ruszyli przed siebie.

Tulczyński przystanął lekko zakłopotany.

— Miałem zamiar przejść wzdłuż wioski — odparł po chwili. — Ale wie pan — może byłoby grzeczniej, gdybyśmy zawrócili do willi „Aurory" i zabrali z sobą pana Donieckiego... Co pan na to?

— To jest naprawdę dobra myśl! — zachwycił się Kazimierz. — Że też ja nie pamiętam o tem. Przecież Zdzisław jest moim najlepszym kolegą i przyjacielem... Wdzięczni też jesteśmy panu, że o nas tak pamięta — dodał uprzejmym tonem, uporczywie wpatrując się w twarz literata.

Tulczyński spostrzegł to dziwne zainteresowanie się swoim profilem, bo drgnął niespokojnie, lecz zaraz uśmiechnął się jakby ironicznie.

— Wie pan, że pańska twarz nie jest mi obca — dziennikarz pospieszył usprawiedliwić się ze swego postępowania. — Zdaje mi się, że skądś znam pana...

— O, to niemożliwe — zaprzeczył literat. — Przecież pan jest z Poznania...

— Pochodzę jednak z prowincji, gdzie dotąd mieszkają moi rodzice. Studiowałem zaś w Poznaniu, a potem także w stolicy.

— We Warszawie?...

— Tak. Zdaje mi się, iż pan mówił, że jest warszawianinem?

— Ja?... Nic podobnego! — zaprzeczył żywo Tulczyński. — Powiedziałem tylko, że pochodzę... z pod Warszawy.

Kazimierz uśmiechnął się w duchu. Wiedział, już skąd pochodzi Tulczyński. Był dobrym psychologiem i jedno jego spojrzenie wystarczyło, aby przekonać się, że literat kłamie. Ale dlaczego kłamie?...

— Być może — ciągnął niedobrym tonem. — Ale zapewne bywał pan w stolicy. Może wówczas spotkałem gdzie pana i stąd wydaje mi się jak gdyby znał pańską osobę. To jedynie zdaje się być pewnem, że pana gdzieś musiałem widzieć. Tylko —

Literat szybko odwrócił głowę i spojrzał na niego pytająco.

— ...tylko mocno mi się zdaje, że teraz zmienił się pan... jakby to powiedzieć... na niekorzyść. O ile sobie przypominam, to wówczas był pan o wiele młodszy, nie nosił pan szkieł na oczach i... Ale na co ja to mówię, kiedy nie wiem napewno, czy to był pan... Mógł to być również ktoś do pana podobny. Bo podobno każdy z nas ma na świecie swego sobowtóra.

Tulczyński nie mógł odpowiedzieć, gdyż w tej samej chwili zaniósł się gwałtownym kaszlem. Atak kaszlu trwał dość długo. Kiedy znowu spojrzał na młodego dziennikarza, twarz jego była zaczerwieniona, lecz spokojna. Wnet jednak odmalowało się na niej zdziwienie i coś jakby szalona radość. W milczeniu wskazał ręką na drogę.

Kazimierz spojrzał w tym kierunku i zobaczył idące im naprzeciw dwie młode dziewczyny. Ucieszył się bardzo, poznawszy Jankę Krańską i Irenę Żalowską.

Dziewczyny dojrzały ich w tej samej chwili, bo powiedziały coś do siebie i roześmiały się równocześnie.

Zbliżyli się.

— Przepraszam, czy panie pozwolą sobie towarzyszyć? — zapytał Kazimierz, kłaniając się z szacunkiem. — Panie także na spacerze?

Przywitał się z Janką, potem silniej uścisnął rękę Ireny.

— Jak panowie widzą — uśmiechnęła się Janka. — I sama tylko. Nawet nie miał nam kto towarzyszyć. Ojciec jest teraz taki zajęty...

— A pan Doniecki? — wyrwało się Tulczyńskiemu.

Irena spojrzała na kuzynkę i roześmiała się.

— Pan Zdzisław był nieobecny — odrzekła. — Lokaj mówił, że poszedł na pocztę... Ale panowie zdążali do willi, prawda? W takim razie to i my wrócimy.

— Nie, nie — zaprzeczył Kazimierz, patrząc na nią dziwnie błyszczącymi oczyma. — Byłoby okrucieństwem pozbawiać panie tak pięknego słońca...

— Wyjdźmy naprzeciw panu Donieckiemu — zaproponował Tulczyński.

Kazimierz, uderzony nerwowym brzmieniem jego głosu, spojrzał nań uważnie i zobaczył dziwny błysk w jego oczach, którego nie zdołały ukryć ciemne szkła okularów. Może dlatego właśnie poparł gorąco propozycję literata.

Ruszyli.

— Niedobra! — rzekł cicho Kazimierz, przysunąwszy się do Ireny. — Dlaczego pani pragnęła pozbawić mnie tej przyjemności, że mogę towarzyszyć pani na przechadzce?

Irena podniosła nań duże, czarne oczy.

— Skąd pan wie, że to ze względu na pana chciałam wrócić do willi?

— Wiem dobrze...

— Pan jest zarozumiałym.

— Może...

Zobaczyła uśmieszek, igrający na jego wargach i zacisnęła zęby.

— Pan jest nieznośny — szepnęła drżącymi ustami. — Pan się ze mnie śmieje...

Spojrzał na nią przeciągle i pochwycił jej rękę.

— Cóż znowu! Gdzieżbym się śmiał z takiego miłego stworzonka! Jestem pewny, że się zaprzyjaźnimy, co panno Irenko? Tylko niech się pani na mnie nie gniewa i nie próbuje prowadzić ze mną walki, bo ja naprawdę nie lubię przed nikim skapitulować.

Irena mimowoli musiała się roześmiać.

— Szkaradny egoista! Zawsze tylko myśli o sobie. Pan Zdzisław, pan Tulczyński i inni, są o wiele sympatyczniejsi... Nie cierpię pana!...

— Bardzo miło mi to słyszeć z ust pani...

Wejrzała na niego pytająco, a w oczach jej widniało niedowierzanie.

— Bo tym sposobem pani wyróżnia mnie z pośród innych — dodał Kazimierz.

Zarumieniła się mocno. Odsunęła się potem od niego i przyłączyła się do Janki.

Widział jednak, że z boku obserwowała go ciekawie. Był z tego zadowolony. Zrozumiał, że poczynał jej imponować.

Dziewczyny, wziąwszy się pod rękę, postępowały przodem. Tulczyński przysunął się do dziennikarza. Zdawał się być zdenerwowany; smutnym wzrokiem spoglądał na idące przodem dziewczyny, a brwi jego marszczyły się ponuro.

Kazimierz zerknął nań kilka razy.

— Pan ma jakieś zmartwienie? — zapytał cicho.

Tulczyński zdawał się być zaskoczony pytaniem. Z nieukrywanym podziwem spojrzał na dziennikarza.

— Pan jest psychologiem, czy magiem? — zapytał również cichym głosem.

— Więc zgadłem?

— Zupełnie. Tak... Mam wielkie zmartwienie — odgadł pan to, czego nie chciałem pokazać po sobie. Pragnąłem być wesołym i swobodnym, ale niestety nie mogę. Trudno. Nie umiem się maskować. Nie mogę być wesołym, gdy w sercu mam smutek... O, bo złość i niegodziwość ludzka zrani nasze serca wtedy, kiedy się tego najmniej spodziewamy...

— Więc wyrządzono panu przykrość?

— Może nie tyle mnie... Niech pan tylko posłucha: Dziś rano jakiś osobnik przesłał mi pocztą list, zawierający głupie oszczerstwa rzucone na osobę, którą ja bardzo szanuję. — (Rzucił okiem na pannę Krańską). — To nastawiło mnie pesymistycznie do ludzi i poważnie zachwiało moją wiarę w uczciwość ludzką. Bo, pan sam przyzna, że jeśli kto, to chyba panna Krańska najmniej zasłużyła na to, aby niedwuznacznie szarpano jej honor...

— Co pan mówi?...

— Mówię, że są na świecie ludzie bez sumienia, którzy dla dogodzenia, odziedziczonym po barbarzyńskich przodkach, złym instynktom, nie wahają się sposobami niekulturalnymi szkodzić swoim bliźnim. Bo do takich zaliczam piszących anonimy.

— Anonimy?... — powtórzył Kazimierz, usiłując zachować spokój.

Tulczyński błysnął szkłami okularów.

— Tylko na Boga — nie tak głośno! — upomniał szeptem, oczyma wskazując dziewczyny. — Mogą dosłyszeć... — I odparł cicho: — Tak. Otrzymałem dzisiaj anonim, uwłaszczający wielce pannie Krańskiej...

Kazimierz zbliżył swoją twarz prawie do jego twarzy.

— Ma pan jeszcze ten anonim? — zapytał dziwnie ostrym szeptem. — Czy też go pan zniszczył?...

Literat uniósł w górę brwi.

— Mam go przy sobie — odparł zdziwiony.

— Proszę, niech mi go pan pokaże. Bardzo proszę...

Tulczyński sięgnął po portfel. Nerwowym ruchem wyjął z niego list i, z lekkim grymasem na twarzy, podał go dziennikarzowi.

Kazimierz rzucił wzrokiem na kopertę: adres był Tulczyńskiego, z dopiskiem „u pp. Krańskich.“ Charakter pisma był identyczny z pismem anonimów, jakie otrzymał Zdzisław i Janka Krańska. Po dziennym stemplu pocztowym poznał, że list nadany był w miejscu.

Już bez pospiechu rozwinął mały arkusz papieru i pochylił się nad nim. Odczytał uważnie zdanie po zdaniu, potem napowrót włożył list do koperty i oddał Tulczyńskiemu. Anonim kończył się znanym podpisem: „Gość“!

Młody dziennikarz był oszołomiony. Jednakże nie treść anonimu zrobiła na nim takie wrażenie, ale przypuszczenie, jakie w tej chwili zrodziło się w jego głowie. Usiłował skupić myśli... Zastanowił się nad treścią anonimów, oraz nad osobami, które anonimy te otrzymały i doszedł do prostego logicznie, a jednak ogromnie śmiałego wniosku: autor anonimów rości sobie, ni mniej, ani więcej jak tylko pretensje do... ręki panny Krańskiej! Dlatego też dokłada wszelkich starań, aby odsunąć od niej swych domniemanych groźnych rywali, za jakich niewątpliwie uważa Zdzisława Donieckiego i Tulczyńskiego, których często widział w towarzystwie Janki Krańskiej. Dlatego przesłał im rzekomo „przyjacielskie“ ostrzeżenie. To jest zupełnie jasne!

Tylko kto jest autorem anonimów? Jak się nazywa? Jakie jest jego stanowisko?

Dumania Kazimierza przerwał głośny wykrzyk literata:

— A niech go...! Spójrzno pan na pana Donieckiego...

Podniósł szybko wzrok, ale Zdzisława przed sobą nie dostrzegł. Natomiast zobaczył, że idące przodem dziewczyny przystanęły. Zbliżył się do nich i jednym rzutem oka objął ich postacie. Janka miała usta silnie zaciśnięte, a pierś jej podnosiła się w szybkim oddechu, na twarzy Ireny malowało się wielkie zdziwienie. Rzucił oczyma w kierunku ich wzroku i zrozumiał wszystko. Zrozumiał znaczenie wykrzyknika Tulczyńskiego.

W pewnym oddaleniu zobaczył idącego przyjaciela. Zdzisław miał przy boku jakąś dziewczynę i zdawał się być nią ogromnie zajęty. Ona zaś głowę poufale wspierała na jego ramieniu. Zdumienie ogarnęło Kazimierza. Znał od dawna Zdzisława, jako młodzieńca surowych zasad i stałego w uczuciach. On miałby uprawiać tak jawny flirt u boku ukochanej?... Absurd! Tu musi być coś innego...

Spojrzał podejrzliwie na Tulczyńskiego. Literat twarz miał zamroczoną, aż prawie ponurą i brwi silnie ściągnięte. Uporczywy i jakby drapieżny wzrok miał utkwiony w twarzy panny Krańskiej. W pewnej chwili na jego sinych ustach ukazał się ironiczny uśmiech.

— Nie przypuszczałem wcale, że pan Doniecki jest aż tak sentymentalny — mruknął szyderczo, nie spuszczając oka z twarzyczki dziewczyny. — Doprawdy, w tej chwili on, poza swą partnerką, świata nie widzi.

Janka zdobyła się na uśmiech.

— Czy pan jemu zazdrości? — zapytała wesoło.

Tulczyński wejrzał na nią z niedowierzaniem. Wzruszył ramionami.

— Chciałbym czego...

— Ach, zapomniałam, że pan jest antyfeministą.

Literat zagryzł usta. Był najwidoczniej zdenerwowany.

Natomiast Janka śmiała się głośno i rozmawiała swobodnie i wesoło.

Dziennikarz z podziwem spoglądał na młodą dziewczynę. Miała łzy w oczach, lecz uśmiech na ustach. Wzięła Irenę pod rękę i śmiało ruszyła naprzód.

— Zuch dziewczyna! — z uznaniem pomyślał Kazimierz.

Kiedy znowu spojrzał na drogę, zobaczył, że towarzysząca Zdzisławowi dziewczyna pospiesznie i bez pożegnania, oddaliła się w stronę opodal znajdującego się domu, pozostawiając młodzieńca najwidoczniej zdumionego takiem postępowaniem. Kazimierz widział, że Zdzisław spoglądał za nią oszołomiony i mocno zdziwiony. Potem parę sekund stał niezdecydowany, a wreszcie wzruszył ramionami i podążył im naprzeciw. Gdy się zbliżył, twarz miał przybladłą i wydawał się być jakby zmartwiony.

Przystanęli.

Tulczyński przysunął się do Zdzisława.

— Nie chcę się chwalić, ale wyłącznie moją zasługą jest to, że w tak licznym towarzystwie wyszliśmy panu naprzeciw — rzekł wesoło. — Czy jest pan z tego zadowolony?

— I owszem — odparł krótko Zdzisław, rzuciwszy szybkie spojrzenie na pannę Krańską i jej kuzynkę.

— Ale z wyrazu pańskiej twarzy, możnaby sądzić, że jest przeciwnie, panie Doniecki — roześmiała się Janka, z odcieniem ironii w głosie.

Zdzisław podniósł na nią niezmiernie smutne oczy i nic nie odpowiedział. Janka nie nazwała go panem Zdzichem, czy Zdzisławem, jak to czyniła w dniach ostatnich, ale z akcentem wypowiedziała „panie Doniecki“, dając mu tem do zrozumienia, że ma do niego urazę. Ale czyż wobec wszystkich będzie jej tłumaczył, że jest niewinny?...

Ruszyli w powrotną drogę.

Janka usiłowała być wesołą i swobodną, ale w głosie jej można było wyczuć gorączkowość i pewny przymus. Rozmowa jakoś im się nie kleiła, to też większą część drogi przebyli w milczeniu.

Zanim jednak przybyli do willi, Kazimierz, który od niejakiegoś czasu w milczeniu, bardzo obserwował wszystkich po kolei, zbliżył się do Janki i zręcznym manewrem odsunął się z nią niepostrzeżenie od reszty towarzystwa.

— Pragnę z panią zamienić kilka słówek w sprawie... Zdzisława Donieckiego — rzekł bez żadnego wstępu.

Janka uśmiechnęła się smutno.

— Nie warto o tem mówić — odparła niemal drżącym głosem. — Już wiem, co mam o nim sądzić...

— Nie, panno Janko. Sąd pani jest napewno mylny. Przed chwilą pani widziała...

— Widziałam aż za dużo! — wyrzuciła impulsywnie.

— Jednak nie można sądzić z pozorów, proszę pani.

— Pan mi współczuje... pan chce mnie pocieszyć...

— Mógłbym uczynić to dopiero wtedy, gdyby spotkało panią nieszczęście, lub jaka przykrość. A tu — na szczęście — nie można mówić ani o jednem, ani o drugiem. Bo Zdzisław nie zawinił względem pani...

— Więc pan chce przeczyć temu, co widziały moje oczy?

— Proszę mi wierzyć, pani, że to tylko pozory przemawiają przeciw niemu. Wiem jak bardzo kocha panią Zdzisław, a znając go już od dawna, mogę zaręczyć pani, że on nigdy nie byłby zdolny do... zdrady.

Janka spojrzała na niego badawczo.

Dziennikarz zrozumiał treść tego spojrzenia, bo dodał pospiesznie:

— Niech pani nie sądzi, że chcę go, jako swego serdecznego przyjaciela, usprawiedliwiać... O, nie! Gdyby zawinił — potępiłbym go również surowo. Ale ja go znam bardzo dobrze. To zaś, że napotkaliśmy go w towarzystwie jakiejś dziewczyny, to niczego nie dowodzi. Ot, spotkał ją na drodze, nie powiem, że przypadkowo, bo musiał ją spotkać, gdyż już naprzód tak było uplanowane przez osobę trzecią, powiedzmy przez — autora anonimów.

— Sądzisz pan? — zawołała zdziwiona, a zarazem i uradowana Janka.

— Czy sądzę?... Zdaje się, że jestem tego nawet pewny.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Ale w jakim celu — zapytała — autor anonimów uplanował to spotkanie Zdzisława z tą... z tą...?

— Pani się jeszcze nie domyśla? A w jakim celu napisał oszczercze anonimy?... Aby wywołać nieporozumienie pomiędzy panią, a Zdzisławem. To jest zupełnie zrozumiałe. Nazwał Zdzisława donżuanem i dzisiaj pani miała „na własne oczy" przekonać się, że jego doniesienia są prawdziwe.

— Więc pan jest tego pewny, że to intryga osobnika, ukrywającego się pod pseudonimem „Gość"?

— Mam dużo danych, aby odpowiedzieć: — tak! W ostatnich dniach zaobserwowałem kilka szczegółów, które dla mnie samego są niezupełnie zrozumiałe... Pani wie, że Zdzisław powierzył mi sprawę anonimów, prawda? I moja ambicja domaga się tego, abym bez względu na to, czy to jest możliwe, czy niemożliwe, ujawnił autora anonimów. A chcąc osięgnąć rezultat pozytywny, musiałem roztoczyć dyskretny nadzór nad osobami, na których może ciążyć choćby najmniejsze podejrzenie...

— Pan ma już podejrzenia?...

— Czy mam podejrzenia? Dla mnie podejrzanymi są wszyscy mężczyźni mieszkający w willi „Aurorze", czy osoby, które miały, lub mają jeszcze, jakąkolwiek styczność z willą. Pani się zdziwiła? A jednak tak jest, jak mówi i tak być musi.

— W takim razie musiałby pan mieć w podejrzeniu także mego ojca i Zdzisława?...

— Oczywiście; gdybym był sędzią śledczym, lub detektywem i gdybym prowadził oficjalne śledztwo, to nie mógłbym inaczej postępować. W podejrzeniu byliby wszyscy, nie wyłączając (proszę mi wybaczyć te słowa) pani ojca. Ale, że nie jestem ni pierwszym, ani drugim, więc nie mam potrzeby o autorstwo anonimów podejrzewać pana Krańskiego, ani też Zdzisława. Prócz nich, nie wolno mi jednak nie podejrzewać wszystkich innych, ktokolwiek oni są!...

Ostatnie zdanie młody dziennikarz wypowiedział z naciskiem, a w jego głosie brzmiała jakby ukryta groźba.

Janka patrzyła mu w oczy.

— Tyle osób pan podejrzewa, a kto jest winnym? — zapytała. — Wie już pan?

— Czy wiem? Niestety, nie mogę na to odpowiedzieć twierdząco. To byłoby za wcześnie. Mogę tylko pani powiedzieć, że w ostatnich dniach zdołałem podchwycić nici intrygi tajemniczego osobnika. Co prawda, są to dopiero bardzo cieniutkie i słabe niteczki, ale mam nadzieję, że wkrótce z tych niteczek będę mógł skręcić mocny sznur, na który schwyci się ten nieznany „Gość"... I jeszcze jedno: Przeczuwam, że czeka panią nie jedna jeszcze przykrość ze strony tego osobnika. Wiem, że on poważy się na gorsze rzeczy, jak pisanie oszczerczych anonimów. Ale pani nie potrzebuje się obawiać. Będziemy czuwać nad panią...

Janka wyciągnęła doń rękę.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję — rzekła serdecznie. — Jestem dumna, że mój narzeczony ma takiego przyjaciela...

Spojrzał na nią szeroko ze zdziwienia otwartemi oczyma. Nie mógł jednak o nic pytać więcej, gdyż w tej chwili zbliżyli się do willi i zaraz złączyli się z resztą towarzystwa. Kazimierz kątem ócz zobaczył, że Zdzisław usta miał desperacko zagryzione i, milcząc zawzięcie, niespokojnemi oczyma obserwował jego i pannę Krańską.

Całe towarzystwo zamieniło jeszcze kilka nic nieznaczących słówek, poczem Irena pobiegła do pana Krańskiego, a Tulczyński udał się do swego pokoju na piętro.

Kazimierz, domyśliwszy się, że jego przyjaciel pragnie rozmówić się z panną Krańską, umyślnie odsunął się i stanął sobie na uboczu.

Zdzisław, jakby czekając na to, przystąpił zaraz do Janki. Patrząc narzeczonej w oczy, wziął jej rękę i podniósł do ust.

— Droga Janko — rzekł ze smutnym uśmiechem. — Wiem, że widziałaś mnie na drodze z jakąś dziewczyną i mogłabyś źle o mnie sądzić. Ale zaraz wszystko wytłumaczę.

Przechyliła śliczną główkę i zajrzała mu w oczy.

— Zapóźno Zdzichu — rzekła z udaną powagą. — Ktoś inny uczynił to za ciebie...

Nie widział figlarnych błysków w jej oczach. Ująwszy obie jej ręce, uścisnął je serdecznie w swoich.

— Ależ najdroższa. Czy mnie potępiasz? Czy sądzisz, że będąc winny, mógłbym stanąć przed tobą z tak podniesionem czołem?... Wierz mi, że tę dziewczynę zupełnie przypadkowo spotkałem na drodze. Udała, że zwichnęła nogę, a ja nie mogłem odmówić pomocy... kobiecie — rozumiesz mnie chyba... Myśląc, że naprawdę zwichnęła nogę, ofiarowałem jej swoją pomoc. Potem dopiero ona przyznała się, że mnie okłamała i sama pobiegła do domu. — W całem jej postępowaniu było coś dziwnego, niezrozumiałego...

— To zapewne dlatego, że nie powiedziała kto kazał jej zaczepić cię na drodze...

— Co? Sądzisz więc Janko...? A do kata! Może to być. Przecież powiedziała, że ją oszukano... Ale kto... kto...?

— Odpowie ci pan Szperacki. On wie bardzo dużo. Zapytaj go.

Janka wskazała oczyma, na uboczu stojącego, Kazimierza i wbiegła na taras. W progu, odwróciwszy się na moment, przesłała narzeczonemu od ust całusa i zniknęła pospiesznie w szerokich drzwiach willi.

Zdumiony Zdzisław długą chwilę stał nieporuszony. Dopiero kiedy poczuł na swem ramieniu czyjąś rękę, odwrócił głowę.

— Odejdźmy stąd — rzekł Kazimierz, rozglądając się dookoła. — Chcę tobie coś powiedzieć.

Nie czekając przyzwolenia, pociągnął przyjaciela w stronę parku. Kiedy znaleźli się na samotnej alei, dziennikarz zapytał:

— Słuchaj Zdzich, co to była za dziewczyna, która łasiła się do ciebie tam — na drodze?

Zdzisław przystanął, dotknięty tonem głosu swego przyjaciela.

— Bo co?

— Dziewczyna niczego sobie, prawda? Ładna, zgrabna i, zdaje się wcale nie trusia...

— Kazik! Co ty wogóle sobie myślisz?

— Co?... To, że diablo mocno tuliłeś się do niej, a ona do ciebie. Tak czynią tylko zakochani, albo...

Zdzisław uścisnął ramię przyjaciela z taką siłą, że ten syknął z bólu i, zaglądając mu w oczy, wyrzekł przez zaciśnięte zęby:

— Przestań Kazik, albo kwita z naszą przyjaźnią. Bo czy wiesz, co mi zarzucasz? Czy ty naprawdę sądzisz, że ja byłbym zdolny oszukiwać kobietę, którą kocham nad wszystkie inne — moją narzeczoną?

— Więc to prawda? Panna Krańska też nazwała cię swoim narzeczonym... Ale dlaczego ja nic nie wiedziałem?

— Bo Janka prosiła mnie, abym przez kilka dni nikomu o tem nie mówił, gdyż wszystko stało się tak nagle... Będąc przekonany, że Janka odwzajemnia moje uczucia, wyznałem jej swoją miłość, która została przyjęta. Janka przyznała się, że już od dawna mnie kochała... Było to w ogrodzie w ów wieczór, kiedy jakiś osobnik spłoszył nas swoim szatańskim uśmiechem...

Kazimierz znieruchomiał na chwilę, a w oczach błysnął mu dziwny płomień. Wnet ściągnął brwi w upartem zastanowieniu. Ponuro zmarszczone czoło, oraz szybkie pulsowanie krwi w widniejących na skroniach żyłach, kazały domyślać się, że w jego mózgu szaleją w tej chwili bezładne, gorączkowe myśli.

Naraz podniósł rękę i ciężko opuścił ją na ramię przyjaciela.

— Zdzichu — rzekł prędkim i jakby przytłumionym głosem. — Nie powiedziałeś mi jeszcze, czy znasz tę dziewczynę... Jak się ona nazywa?

— Pytasz o Zofię Niewiarowiczównę?...

— Więc znasz ją?...

— Nie. Nie znam... Dlaczego tak patrzysz na mnie?... Mówię, że nie znam jej tak, jak może ty myślisz. Rozmawiałem z nią pierwszy raz w swem życiu.

I Zdzisław opowiedział, w jakich okolicznościach spotkał dziś pannę Niewiarowiczównę, nie ukrywając tego, że jej postępowanie było conajmniej dziwne i dla niego niezrozumiałe.

— Widzisz teraz — zakończył — że to spotkanie było zupełnie przypadkowe.

Dziennikarz potrząsnął głową.

— Nie, mój drogi. To nie był przypadek. Tyś musiał ją spotkać... Bo tak było umówione.

— Co... co mówisz?

— Że ta panna Zofia Niewiarowiczówna działała z namowy...

Zdzisław podniósł oczy, w których widniało bezgraniczne zdumienie.

— Janka już mi o tem wspomniała. Ale czyż to możliwe?... Kto ją namówił? W jakim celu?...

— A kto napisał oszczercze anonimy? — zapytał Kazimierz zniżonym głosem. — Kto wtedy szpiegował was w ogrodzie i nadal szpieguje ciebie na każdym kroku?...

— Tajemniczy „Gość"?! — zawołał Zdzisław, oglądając się machinalnie. — Tak, to napewno jego intryga. Boże mój! Teraz rozumiem wszystko. On pragnął zdyskredytować mnie w oczach Janki. Zainscenizował to „spotkanie" z panną Niewiarowiczówną w tym celu, aby moja narzeczona mogła przekonać się o rzekomej mej zdradzie... Och, jakiż głupiec ze mnie! Zaraz powinienem się tego domyślić. Ale co ten osobnik chce ode mnie? W czem mu zawiniłem?

— Przekreślasz mu jego plany.

— Jakie plany?... Nie znam go przecież...

— Uważa ciebie za swego rywala. I nietylko ciebie. Bo Tulczyński też otrzymał anonim ze znanym nam podpisem „Gość". Pokazał mi go. Więc i Tulczyńskiego uważa za swego rywala. Widocznie pod mianem „gościa" ukrywa się nie byle jaka osoba gdy uważa siebie za pretendenta do ręki panny Krańskiej...

Zdzisław zbladł i zacisnął pięści.

— On śmiałby...?!

Kazimierz się roześmiał.

— Mój kochany — zauważył sentencjonalnie. — Tacy ludzie odważają się na wszystko.

— Ty już coś wiesz — mówił Zdzisław, potrząsając przyjaciela za ramię. — Ty musisz wiedzieć. Powiedz mi, jak się ten łotr nazywa?...

— Czyś oszalał... Skąd mogę wiedzieć? Co najwyżej, to mogę mieć tylko podejrzenia. Nic więcej.

— Kogo więc podejrzewasz?...

— Dwie osoby. Ostatecznie to może być i trzeci podejrzany.

— Może być... to znaczy, że dotychczas podejrzanym nie jest. A jak się nazywają te dwie osoby?

— Tego powiedzieć nie mogę, gdyż nie wiem jeszcze który z nich jest winny. Zachodzą ponadto inne jeszcze względy i później sam zrozumiesz, jakie. Gdybym tobie powiedział nazwiska osób, które ja podejrzewam, nie uwierzyłbyś mi z początku, a później spłoszyłbyś ptaszka... Nie musisz się denerwować i bez zastanowienia wierzyć pozorom. Raczej twój tajemniczy nieprzyjaciel powinien się denerwować. Wtedy ja będę miał ułatwione zadanie i prędzej posiądę niezbite dowody jego szaleńczych i kto wie, czy nie zbrodniczych zamiarów.

— Kogo ty podejrzewasz? — głowił się Zdzisław. — Czy ja znam te osoby?

— Może...

Dziennikarz spojrzał badawczo na przyjaciela i naraz, widocznie coś sobie przypomniawszy, zapytał:

— Czy powiedziałeś dzisiaj lokajowi Franciszkowi, że pojdziesz na pocztę?

— Nie. Czemu?

— Bo Franciszek Leśniczak wiedział, że tam poszedłeś. Powiedział to pannie Krańskiej i jej kuzynce.

— Tylko panu Krańskiemu powiedziałem, że będę musiał iść na pocztę po odbiór pieniędzy — dodał Zdzisław. — Ale lokajowi nic nie mówiłem.

— A nikt więcej nie słyszał twej rozmowy z panem Krańskim?

— Nie. Oprócz mnie i pana Krańskiego, nikogo więcej nie było w pokoju. Pamiętam to doskonale.

— Szczególne — zastanowił się Kazimierz. — Skąd więc Franciszek Leśniczak wiedział, że poszedłeś na pocztę? I nietylko lokaj. Zdaje się, że ktoś inny także był o tem powiadomiony... A może okna były otwarte?

— Oczywiście, że otwarte... Czy sądzisz, że odważyłby się podsłuchiwać? Czekaj, może i to być. Bowiem zdawało się mi, że ktoś przechodził pod oknami w chwili, kiedy ja rozmawiałem z ojcem Janki.

Młody dziennikarz wykonał ręką nieokreślony gest. Był widocznie bardzo zadowolony z takiej odpowiedzi.

— Alboż się mylę, albo ta panna Niewiarowiczówna mieszka w tym ładnym domku nad jeziorem? — zapytał takim tonem, jakby z góry spodziewał się twierdzącej odpowiedzi. C.d.n.

ADAM CZEKALSKI

12)

Radość życia

powieść

Dokończenie

Lecz za to spotkanie nowe po latach dwóch niewidzenia nie miało jeszcze być ostatniem. Gra między nami dopiero się rozpoczęła. Ja drażniłem ją, prześladowałem memi tonami, ścigałem, odbierałem jej spokój, a ona wszędzie szła za mną, gdziekolwiek koncertowałem. Gra moja pociągała ku mnie jej wyobraźnię i nerwy; hołdy, które mi składano, wprawiały w rozpacz jej próżność. Rozpaczała nad tem, że dobrowolnie utraciła tego, któremu świat składa hołdy; aż do rozpaczy walczyła z temi napowietrznemi niémi, które, wypływając z pod mego smyczka, ciągnęły ją ku mnie jak opierającą się, lecz spętaną niewolnicę. Miałem przyjemność widzieć najpiękniejsze jej postanowienia pozostania zimną i wyniosłą, topniejące w upale mojej muzyki, jak krople wosku w ogniu; miałem wielką przyjemność spostrzegać, jak w czasie mego grania delikatne jej ręce mięły, gięły, czasem łamały wachlarze i resztki ich podnosiły ku twarzy, aby ukryć rumieńce gorączkowe lub niepodobne do powstrzymania łzy.

Tak przyszedł dzień, w którym śpiewać miała Niobe. Czekałem na ten wieczór z tęsknotą i lękiem, postanawiałem tysiąc razy nie iść tam i znowu tysiąc razy odwoływałem moje postanowienie. Nagle dowiaduję się na parę godzin przed jej występem, że Niobe zerwała umowę i śpiewać nie będzie. Doznałem uczucia, jakby mi kto nagle kubeł zimnej wody wylał na głowę. Co się stało? Dlaczego tak postąpiła? Dlaczego? I wściekłość ogarnęła mnie na Niobę, Julię i cały świat; przez nią znienawidziłem wszystkie kobiety na globie ziemskim. Teraz dopiero zrozumiałem, że ja pragnąłem z całej duszy pójść tam, słuchać głosu Niobe, patrzyć na nią, może nawet zamienić z nią słów parę na oczach Julii i przyprowadzić signorę Gonzzi o nowy atak cierpień.

I jednocześnie dawna fala miłości przeciągnęła świeżym powiem przez pierś moją i utajona, przygłuszona i przytłumiona tęsknota za nią wybuchnęła jak płomień zasłony nowym wiewem świeżego powietrza.

Niobe!

To słowo znów mi się stało wszystkiem, choć uważałem je za martwe i niezdolne nic we mnie wzbudzić. A jednak...

Dyrektor „Scali" wpadł do mnie, rwąc włosy na głowie z rozpaczy.

— Mistrzu, ratuj honor mojego teatru, bo bez twej pomocy zginąłem ja sam, moja rodzina i dobre imię „Scali" — wołał w najwyższej rozpaczy.

Miałem ochotę wyrzucić go wprost za drzwi, tak mi ta w porę była mi jego wizyta, lecz po namyśle roześmiałem się tylko zgryźliwie, pytając:

— Jakież straszne nieszczęście spadło na twoją biedną głowę, dyrektorze?

— Ach, mistrzu, to mało powiedzieć: nieszczęście, to najbardziej skandaliczny skandal! Cały świat powiadomiony o dzisiejszym występie, wszystkie stacje radiowe przygotowane do transmisji, bilety wysprzedane, a tymczasem... patrz pan! Depesza odwołująca występ.

I biedny Włoch znowu zaczął biegać po moim pokoju, rwał włosy, pienił się, wkońcu zatrzymał się raptownie przede mną, złożył ręce jakby do modlitwy i zawołał:

— Mistrzu, błagam, wystąp, aby ratować honor teatru, honor naszego miasta, honor całej italskiej muzyki...

Miałem zamiar początkowo odmówić, lecz błagalna mina Włocha, łzy skrzące się w jego oczach usposobiły mnie do niego przyjaźnie. Zresztą — broniłem tu przecie i honoru Niobe!...

— Dobrze — odrzekłem — wystąpię jeszcze tym razem, ale będzie to już na długo, może na zawsze nawet, mój ostatni koncert tutaj.

Uradowany Włoch omal nie rzucił mi się na szyję z wdzięczności, zgóry akceptując następnie wszelkie moje warunki.

Wieczorem znowu stanąłem przed publicznością. Znowu miałem przed sobą barwne półkole arystokracji rodowej, urzędniczej, finansowej, a wśród nich widziałem, jak zawsze dotąd — Julię. Te najbliższe mnie trzy szeregi krzeseł przywodziły mi zawsze na myśl półkolisty klomb kwiatów podzwrotnikowych, świeżą skropionych rosą. Były to damy panujące światu z najwyższych pozycyj towarzyskich, sam szczyt i wykwint wdzięku, elegancji, delikatności skóry i nerwów, wykształconego smaku, przywodziły mi na myśl istotnie kwiaty podzwrotnikowe, skropione rosą, bo taka była wspaniałość i rozmaitość ich barw i postaci, bo tak błyszczały i migotały drogie kamienie na ich włosach, rękach, wpółobnażonych piersiach. Grek nazwałby to olimpem, mahometanin haremem, a ja wiem, że klomb ten jest wielkim światem i że w tej chwili ją nad nim panuję. Być władcą i niemal bóstwem wielkiego świata! bagatela! Jakąż rozkoszą napawała mnie w tej chwili myśl, że ja oto nie urodziłem się wśród nich, a jednak, rozstępują się, abym wszedł w ich koło i jeszcze podsuwają mi piedestał pod nogi, abym z niego nad nimi panował!

Pierwszą część mej gry zbiegła w sposób normalny, jak zbiegła zawsze przedtem, ilekroć stawałem tu na tych deskach, przed tem świetnem zgromadzeniem i — grałem.

Lecz w drugiej części, już niemal pod koniec koncertu, wzrok mój nagle wyróżnił z pośród innych postaci jedną i aż do końca już się od niej nie odwracał. Nie mogłem w tej postaci poznać kogokolwiek, ale wyczułem tylko instynktownie, że to ktoś bliski, i bardzo kochany, i bardzo pożądany. Nie odrywając od tej postać wzroku, dla niej grać zacząłem.

Tonami mych skrzypiec jak słowami do niej zwracając się w myśli, opowiadałem, żem ją przywoływał w godzinie rozpaczy, która przeniknęła tylko napozór, bo cień jej pozostał we mnie i w momencie szczęścia nie daje mi czuć się szczęśliwym do końca.

O Niobe, jakże pragnę uciec stąd i być z tobą, gdzieindziej, daleko... Z tobą, bo ty skądinąd pochodzisz i jesteś inną, może z hałasu w ciszę, ze ścisku w samotność, może w taką samotność, śród której byłabyś ze mną jedynie ty — jeden tylko anioł dobry i cichy. Pójdź do mnie! pójdź do mnie! pójdziemy razem...

Skończyłem. Przy ostatnich tonach, które wypływały z pod mego smyczka wezwaniem coraz smutniejszem, ciekawszem, bardziej utnem, z jej oczu dużych, dobrych i cierpiących spływać za-

częły łzy powolne i gęste. Ukłonami dziękując za nowe oklaski i kwiaty, myślałem: czy zrozumiała? czy spostrzegła?...

Wracałem do mego pokoju hotelowego samochodem jednym, a za mną sunął trop w trop drugi, wiozący dzisiejsze trofea — kwiaty.

W westibulu portier bawił się z małą dziewczynką, zapewne córką, która czekała tu na niego aż skończy służbę, by wrócić z ojcem do domu. Jeden moment wahania, nie — raczej zastanowienia i wszystkie te kwiaty ofiarowałem małej dziewczynce portiera.

Potem szybko poszedłem po schodach na górę. Przekręciłem klucz w zamku, pchnąłem drzwi, lecz nie zapalałem światła. Padłem na jakiś najbliższy sprzęt, zmordowany okrutnie, ścisnąłem dłońmi głowę i jęk - wezwanie wydobył mi się z piersi.

— Niobe! Niobe, gdzie jesteś? O, Niobe! Niobe!...

Lecz w ciszy nocnej nikt, żadne najsłabsze echo nie odpowiedziało. Tylko czasem z ulicy dochodził tu stłumiony ryk klaksonów samochodowych, a z restauracji hotelowej obrzydłe tony murzyńskiego jazzu.

W pewnej chwili doznałem uczucia, jakby w pokoju moim ktoś był. Uczucie to tak było silne we mnie, że zerwałem się gwałtownie i krzyknąłem:

— Kto tu?

Jakiś ruch, jakiś szelest, dopadam do kontaktu, naciskam biały guzik, jasność zalewa pokój. Rozglądam się niespokojnymi oczyma, szukam niecierpliwie, następnie, na jeden jedyny, jak myśl krótki, moment kamienieję, a potem przypadam do zawoalowanej postaci, zrywam z niej okrycie i okrzyk triumfu, radości i szczęścia wypełnia pokój, zdaje się wyrywać nazewnątrz, napełniać ulice, domy, świat cały...

Niobe!

Nogi uginają się przede mną, kolana łamią — klękam, a ramiona moje oplatają stopy ukochane, twarz przylega do nich, chłodząc swą gorączkę i oczy moje zraszają łzami ślady jej stóp.

Ona nachyla się nademną, ujmuje mnie i podnosi. Cudowne rzeźby jej ramion oplatają moją szyję i usta nasze, które tak długo szukały się daremnie, tęskniły i pożądały, łączą się w pocałunku długim jak wieczność, a słodkim jak szczęście samo.

— Sew, o — Sew, nie mogłam już dłużej, nie mogłam... Tak wiele myślałam od czasu, gdy ty odszedłeś, tak wiele myślałam... Kiedyś, bardzo dawno już temu, kiedy byłam maleńką, bardzo maleńką, wróżka przepowiedziała mi szczęście, i bogactwa, i sławę, a ja miałam sama wybrać z pośród nich szczęście lub bogactwo i sławę. Jeśli wybiorę to drugie, nie zaznam nigdy ciepła miłości, a jeśli zmoże mnie tęsknota i ktoś zabierze z moją wolą dziewiczość mego pocałunku — sława moja pryśnie jak bańka mydlana... Ale ja nie chcę już sławy, nie chcę bogactw — o, Sew, nie chcę ich za cenę utraty ciebie... Tyś mi sławą i tyś mi bogactwem droższem nad wszelkie inne skarby świata.

— O, Niobe! Jakżeś jest cudowna w tej godzinie, w której powstaje, rodzi się szczęście. Radość życia płonie na wargach twoich i rozkosz wykwita na twoich policzkach... Głos twój słodszy jest nad nektar Apolla i nad wszystkie słodycze raju... Otom cię szukał w przestrzeni i czasie, otom tęsknił do ciebie jak wędrowiec tęskni do źródła i nareszcie odnalazłem cię od źródła kastalskiego czyściejszą, od wszystkich kwiatów ziemi wonniejszą, i ukochałem miłością bezbrzeżną i wiekuistą jak wszechświat. Bądź pozdrowione szczęście moje i radości życia.

— — — — — — — — —

Nasz lekki i zwinny stateczek, którego imię: „Radość życia" czerwieni się karminowymi literami na śnieżnej bieli boków — smuży brózdę wód spienioną za sobą i płynie naprzód ku niezmiernym dalekościom mórz i oceanów ogromnych.

Białopióre mewy żegnają nas krzykiem swoim, może ostatnim, jak słyszeć będą uszy nasze. Wszystko co przykre i bolesne, co brudem ziemi trąci, zostawiliśmy na brzegu lądu, a jako jedyny bagaż w daleką drogę, gdzie nie będzie ludzi, zabraliśmy oboje z Niobe szczęście nasze, jak ocean olbrzymie i przepastne i radość życia niepojęcie cudną, która nam niby gwiazda przewodnia lub latarnia morska świeci.

— — — — — — — — —

...Już tylko morze i niebo z nami... I nasze szczęście wciąż nam towarzyszy.

Z pośród skarbów ludzkich uczuć jedna miłość jeno jest najcudniejszem zjawiskiem, jest tą iskrą Bożą, którą ludzie duszą zowią.

To ostatnie słowa. W tem miejscu łamię pióro, aby nigdy nie wziąć go więcej w rękę.

KONIEC.

HUMOR

Bolesna strata

— Dlaczego powiedział pan dyrektorowej, że jej mąż umarł, kiedy on tylko stracił majątek?

— Chciałem ją do tego ciosu delikatnie przygotować!

Psychologia

Pomader i Gancpomader niecierpią się choć się znają. Kiedy Pomader się zaręczył, znajomi ze wszystkich stron zwracają Gancpomaderowi uwagę, że wypada, aby on mu także złożył gratulacje. Gancpomader odmawia.

— Nie mogę tego zrobić w żaden sposób. Jemu nie mogę gratulować, bo nie znam jego narzeczonej, a jego narzeczonej nie mogę gratulować, bo jego znam.

Argument

Pani domu widzi w kuchni jakiegoś żołnierza, który się posila.

Nazajutrz pyta się służącej:

— Marysiu, kto to był ten żołnierz, co wczoraj siedział w kuchni?

— A to był, proszę pani mój brat!

— Dziwne, całkiem niepodobny!

— Bo mu, proszę pani, w wojsku brodę zgolili.

W czepku się urodził

— Moja żona nigdy nie wie, czego chce!

— Szczęśliwcze, moja wie zawsze!

Kłopoty młodej mężatki

— Najdroższy, dziękuję ci bardzo, za kupienie mi tej doskonałej książki kucharskiej, ale niestety... — i tu twarzyczka młodej mężatki okrywa się mocnym rumieńcem — narazie nie mogę gotować według jej przepisów...

— A to dlaczego?

— Bo wszystkie są na sześć osób!

A ja nie

Na dobroczynnym balu stary bankier Pieniążek ofiaruje dla biednych 10 zł.

— Jakto? — dziwi się kwestarka — Pański syn dał 50 zł... a pan tylko dziesięć?

— Czego się pani dziwi? — odpowiada bankier. Mój syn ma bogatego ojca, a ja nie...



— Karolku, ułóż zdanie, w którym byłaby mowa o cykorii.

— „Codziennie piję dwie szklanki kawy".

— No, gdzież, tu jest „cykoria"?

— W kawie!

Zna swój swego

Pani: Katarzyno, mam wam pomóc?

Kucharka: Dzisiaj nie, proszę pani, mam dużo roboty!

Praktyczny wynalazek

— Dlaczego, mój mały, stoisz w kącie? Czy byłeś niegrzeczny?

— Nie, tylko jak są goście, to muszę tu stać, żeby nie było widać dziury w tapecie!

Kobieta i żołnierz

— Czem się różni kobieta od żołnierza na froncie?

— Tem, że nigdy niewiadomo, co kobiecie może strzelić do głowy, natomiast zawsze wiadomo, co może strzelić do głowy żołnierzowi na froncie.

Śpiewająca córka

— Tatusiu, czy lubisz, gdy śpiewam? — pyta córka?

— Właściwie przyjemności mi to nie sprawia. Ale przynajmniej zapominam wtedy o wszystkich innych powodach do irytacji.

Propozycja

Głąbek przechodzi przez ulicę. Policjant wymierza mu za nieprzestrzeganie reguł o ruchu ulicznym mandat karny w wysokości 1 zł.

— Zapłacę, — powiada Głąbek, — ale mam tylko całe dwa złote. Czy może mi pan wydać resztę?

— Nie, niech pan przejdzie jeszcze raz przez ulicę, dostanie pan jeszcze jeden mandat i będziemy kwita.

W teatrze

Wacek w teatrze, po pierwszym akcie mówi do kolegi:

— Chodźmy do domu, w programie napisane, że drugi akt w pięć lat potem.

Podpatrzone

Dwu zadzierzystych kolegów spotyka się w drzwiach.

— Nie ustępuje przed idiotami — woła pierwszy i idzie naprzód.

— A ja ustępuję — odpowiada drugi i cofa się.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadecki h 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.